Dziś 12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 10 lutego 1946 r. | Nr 6 (63)

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Nie było tak źle

W przedmowie do drugiego wydania „Poloneza", współautor powieści Jerzy Kornacki wspomina m. in. o losach ustawy bibliotecznej, charakteryzując stosunek miarodajnych podówczas przedstawicieli literatury oficjalnej do projektu ustawy. „Goetel" — pisze Kornacki — „był przeciwnikiem ustawy, Kaden Bandrowski jej zwolennikiem, jednak obaj panowie zgadzali się z jednym: polska literatura współczesna jest tak postępowa, tak lewicowa, że stanowi siłę niebezpieczną politycznie, jako mocny nurt myśli społecznej, coraz oczywiściej socjalistycznej i komunistycznej... Kaden-Bandrowski twierdził, że faktycznie ustawa biblioteczna da się przeprowadzić z pominięciem tych mocnych nurtów lewicowych, natomiast Goetel był innego zdania, utrzymując twardo, że całe polskie piśmiennictwo współczesne zarażone jest śmiertelnie „czerwoną cholerą". Zdanie Goetla przeważyło".

Te charakterystyczne opinie matadorów literackich epoki „sanacyjnej" opatruje Kornacki bardzo ważkim i logicznym komentarzem. „Z tym większym podziwem w lewicowych kołach słyszę dziś pogląd, że pisarze polscy, z nielicznymi wyjątkami, stanowili w rękach „sanacji" uległe narzędzie, wrogie wszelkim społecznym ideom postępu, sprawiedliwości, równości. ...Na zjazdach pisarzy i na szpaltach czasopism chętnie a nieoględnie nazywa się dzisiaj literaturę polską śmietnikiem burżuazyjnym, a nawet czujnie ostrzega się Państwo, by młode polskie pokolenie chronić przed złym wpływem tamtych twórczych lat".

Wydaje mi się, że Kornacki potępiając „fałsz i bezsens" tych ryczałtowych osądów poruszył sprawę bardzo istotną, wykraczającą daleko poza obręb dyskusyj czysto literackich. Faktem jest przecież bezspornym, że literatura nasza epoki międzywojennej należy do rzędu dokumentów, które określają i odbijają charakter tego okresu, jego idee, prądy i tendencje. Nie jest to oczywiście jakąś specjalną zasługą tej literatury, takie bowiem znaczenie dokumentarne ma każda twórczość literacka każdego okresu. Od sprawiedliwej oceny dowodowego materiału literackiego zależeć będzie w niemałej mierze sąd historyków polskich o pamiętnym dwudziestoleciu w ogóle. Bardzo dobrze się stało, że tę kwestię podjął właśnie Kornacki: jego osoby najbardziej impetyczny radykał nie napiętnuje przecież mianem „uległego narzędzia sanacji", jego twórczości nie wyrzuci najbezwzględniejszy krytyk na „burżuazyjny śmietnik" czasów pogardy.

Osobista — dobrze zrozumiała — gorycz Kornackiego każe mu może nieco przesadzać co do rzekomej powszechności osądów negatywnych, stosowanych dziś względem naszej literatury międzywojennej. Prawdą jest wszakże, że osądy takie nie są rzadkością, że spotykamy się dość często z ogólnikowym zarzutem bezideowości i ahistoryczności tej literatury, z próbami piętnowania jej aspołecznych jakoby nastawień, z pomawianiem jej o czczy estetyzm, jałowy psychologizm i chęć tchórzliwej ucieczki z pola starć i walk ideologicznych.

Trudno się zgodzić na tak surowe i ryczałtowe wyroki potępiające, jeśli w skrupulatnym rozrachunku weźmiemy pod uwagę, że przecież prócz oficjalnej, bezpłciowej i bezpostaciowej niejako literatury dla „górnych dziesięciu tysięcy", prosperującej wśród kadzidlanych dymów zachwytów, zaszczytów i akademickiej pompy, istniała też literatura innych przeznaczeń, tkwiąca głęboko w podłożu realnych i palących zagadnień współczesności i dlatego właśnie postponowana, prześladowana, szczuta na wszelkie sposoby przez dysponentów władzy „sanacyjnej". Pamiętamy wszyscy doskonale czasy planowych represyj, konfiskat, szykan moralnych i materialnych, sypiących się gradem na głowy śmiałków, którzy nie „koncerty egotyczne" lecz pieśni buntu, protestu i walki pragnęli wygrywać na instrumentach swej literackiej twórczości. Czepiano się każdego pretekstu wyszukiwano najnieprawdopodobniejsze powody, aby taką twórczość, twórczość pisarzy — społeczników, pisarzy — bojowników utrudnić, zahamować i zdławić w zarodkach.

Nic może lepiej — choć od humorystycznej strony — nie określa smaku i stylu tamtych czasów jak przykład cenzorskiej czujności przytoczony przez Kazimierza Wykę w jego rozważaniach na temat „Tragiczności, drwiny i realizmu" w naszej literaturze międzywojennej („Twórczość" nr 3, str. 106). „Pamiętam" — pisze Wyka — „jak Leon Kruczkowski pokazywał mi w tekście „Sideł" zdanie, które wypadało skreślić: ulicą idzie oficer, śmiejąc się bez wyrazu młodym i zdrowym rzędem zębów. Te zęby trzeba było usunąć"... Trzeba było usunąć, bo w owych czasach nawet zęby oficerskie były tabu i wzmianka o nich mogła urazić jakiś pułkownikowski majestat.

A mimo to wszystko, mimo sądów, więzień, obozów odosobnienia i — nazbyt często praktykowanego „łamania kości", żywo i bez przerwy płynął nurt literatury nieoficjalnej, ale społecznej, nie mdłej i afirmującej, lecz buntowniczej i o wyraźnym obliczu, nie łaskocącej mile naskórek mieszczańskich pięknoduchów, lecz z potrzeb mas wyrosłej i dla tych mas przeznaczonej. Siła tego nurtu porywała nieraz chwilowo nawet tych, którzy z rozmysłu i z przekonania szukali dla się miejsca po przeciwnej stronie społecznej barykady. Czy nie jest w tym względzie znamienny choćby przykład Kadena-Bandrowskiego, który jako autor „Czarnych skrzydeł" z brutalną śmiałością obniżył kontrast świata Coeurów i świata Supernaków?... Nie chodzi w danym razie o to, że z faktu stwierdzenia socjalnych antynomii nie zechciał wyciągnąć artystycznych ani osobistych wniosków; ważne jest to, że przepaść tych antynomii musiała być i została dostrzeżona przez pisarza, który w niewiele lat później czynił zabiegi ratownicze przed wtargnięciem w rodzinne opłotki literackiej „czerwonej cholery".

Ale twierdzenie o istnieniu w literaturze międzywojennej żywego i mocnego nurtu społecznego, postępowego, nawet rewolucyjnego, nie może się obejść bez dowodów obiektywnych. Zaś najdobitniejszym spośród nich będzie — jak sądzę — proste wyliczenie nazwisk powieściopisarzy, poetów i krytyków literackich, którzy w okresie międzywojennym zajęli określoną postawę twórczą, równie daleką od „burżuazyjnego śmietnika", jak od przedpokojów gromodzierżców reżimu. Wyliczając te nazwiska w alfabetycznej — ze zrozumiałych względów — kolejności, podkreślam z naciskiem: 1) lista nie może rościć sobie pretensji do bezapelacyjnej dokładności, — i 2) pominięcie jakiegoś nazwiska nie jest bynajmniej i dla każdego przypadku równoznaczne z zaliczeniem nieobecnego do obozu społecznego wstecznictwa, do klanu użytkowników „sanacji", do rzędu głuchych, ślepych i obojętnych na wołania czasu; mogło się zdarzać niekiedy i zdarzało się niewątpliwie, że pewni pisarze czy to ze względu na rodzaj swych zainteresowań literackich, czy też z racji osobistych właściwości charakteru i temperamentu, trzymali się z dala od jawnych walk ideologicznych i nie manifestowali publicznie swego stanowiska i jeszcze jedno: brak w tej liście — niemal zupełnie — autorów sztuk scenicznych, dramaturgów, co tłumaczy się łatwo okolicznością, że w owych czasach żadna sztuka o śmielszej tendencji społecznej nie mogła liczyć na teatralną realizację, tak że nawet pisarze o wrodzonych dyspozycjach scenicznych musieli albo milczeć, albo przenosić swą twórczość na inne odcinki pisarskie.

Oto spis nazwisk autorskich, które mogą chyba dać świadectwo prawdzie, zaprzeczając pochopnemu pomawianiu literatury międzywojennej o — pustkę ideową, bezprzedmiotowość społeczną i wygodny egotyzm.

Baczyński, Boguszewska, Braun M., Broniewski, Brzoza, Bujnicki, Burek; Ciepliński, Czuchnowski; Dąbrowski J., Dobrowolski St. R., Drzewiecki H.; Fik, Fryde; Górska H., Hollender; Jarecka G., Jasieński, Jastrun; Kornacki, Kowalski Wł., Kowalscy J. i A., Krahelska, Kruczkowski L., Kruczkowski A., Kurek; Lec, Lern R.; Miller J. N., Minkiewicz, Morcinek, Morton, Muszałówna; Nałkowska; Olcha; Pasternak, Peiper, Piętak, Polewka, Pollak S., Przyboś, Putrament, Rey S., Rudnicki, Rydzewska; Słobodnik, Szelburg-Zarembina, Szemplińska, Szenwald; Wasilewska, Wandurski, Ważyk, Wende J. K., Wiktor J., Wojeński, Wolica; Zegadłowicz.

Prawie sześćdziesiąt nazwisk (a i to z pewnością nie wszystkie) jak na okres dwudziestoletni — to dużo, to bardzo dużo, zbyt wiele, by można było je kwalifikować jako „nieliczne wyjątki". Ten suchy spis zawiera nie tylko wielką sumę różnorodnych osiągnięć literackich, ale jest ponadto jak gdyby kryptogramem wielu ciężkich przejść i przykrości osobistych, bo za słowa prawdy, czyli opozycyjne zuchwalstwo, płaciło się wówczas drogo własną niejednokrotnie skórą, zaś później — jak wiemy — okupant niemiecki kontynuował te porachunki z najbardziej bestialską bezwzględnością.

Oczywiście, wymienieni pisarze nie stanowili bynajmniej jakiejś ideologicznie jednolitej grupy, jakiegoś zwartego, całkowitą wspólnością dążeń i działania połączonego frontu. Przeciwnie, reprezentują oni ogromną rozpiętość talentów i gatunkowego ciężaru twórczości, wielką różnolitość artystycznych programów, bardzo rozmaity stopień społecznego radykalizmu i opozycyjnego napięcia. Ale ponad tymi naturalnymi dyferencjami górują cechy determinującego podobieństwa: negatywna postawa wobec ówczesnej rzeczywistości społecznej i politycznej, świadomość aktualnych potrzeb i tendencyj socjalnych, pragnienie zmiany istniejącego układu stosunków. Na takich właśnie pozycjach pisarskich stały bynajmniej nie wyjątki wśród ideologicznej pustyni, lecz — jak widzimy — liczne szeregi wyznawców idei postępu, demokracji, humanitaryzmu, wyzwolenia społecznego i gospodarczego. Czyż trzeba podkreślać, że wiele z wymienionych nazwisk jaśnieje na literackim firmamencie trwałym i niecodziennym blaskiem?...

Byłoby niesprawiedliwie pominąć milczeniem w ramach tych przypomnień działalność całych zespołów pisarskich, które wbrew trudnościom i przeszkodom skupiały się wokół pewnych czasopism czy też doraźnych imprez wydawniczych. Trzeba więc wspomnieć, choć w jednym zdaniu, o działalności grupy „Przedmieście", o czasopismach „Lewar", „Lewy Tor", „Sygnały", „Żagary". Celem tych zbiorowych poczynań było aktywizowanie twórczości poszczególnych uczestników, nadawanie jej wzmożonego, zespołowego dynamizmu, komasowanie indywidualnych osiągnięć pisarskich w określoną całość ideologiczną. Nawet poeci dawnej awangardy formalnej z grupy „Zwrotnicy", w poszukiwaniu nowych wątków tematycznych sięgali do motywów urbanizmu, do pochwały pracy fizycznej i człowieka uspołecznionego. A na drugim krańcu wachlarza poetyckich dążeń — u skamandrytów, czyż nie dostrzeżemy w poezji Tuwima i Słonimskiego wielu strof zrodzonych z buntu, protestu, negacji wobec zastanego świata, z nieskrystalizowanych może pojęciowo lecz wyraźnych pragnień przeobrażania i ulepszania dotychczasowych form ludzkiego bytu?

W imię ścisłości literacko-historycznej niepodobna też pominąć w tym przeglądzie paru nazwisk pisarzy starszej generacji, którzy pewnymi przejawami swego pisarstwa wiązali się z prądami i hasłami najbliższej współczesności i starali się jej dotrzymać kroku. Myślę tu przede wszystkim o „Przedwiośniu" Żeromskiego, które — niezależnie od wszel-

Fragment „Męczeństwa świętego" z r. około 1230 w kościele cystersek w Trzebnicy na Dolnym Śląsku. Na przełomie XII i XIII w. działało na Śląsku kilka pracowni kamieniarskich w związku z żywym wówczas ruchem budowlanym, inicjowanym przez Piastów śląskich. Zapewne najwybitniejszą z tych pracowni była pracownia rzeźbiarska, stojąca na usługach klasztoru trzebnickiego, założonego w r. 1203 przez Henryka Brodatego. Reprodukowana rzeźba należy jeszcze do stylu romańskiego, ale ujawnia także pewne cechy gotyckie, warunkujące np. gatunek ekspresji.

kich usprawiedliwionych z dzisiejszego punktu widzenia zastrzeżeń — zachowuje siłę dokumentu literackiego, powstałego z żarliwej aż do bolesności chęci konfrontowania realnej prawdy niepodległościowej z jej dawnym, wymarzonym obrazem. Z ducha troski o dobro i przyszłość człowieka poczęte były powieści Andrzeja Struga — „Żółty Krzyż" i „Miliardy", stanowiące nie byle jakie pozycje prozy lat międzywojennych. Sprawie postępu społecznego służył gorliwie Boy-Żeleński, nie tylko jako pogromca mieszczańskiej obłudy i zachłannego klerykalizmu, ale również — jako przenikliwy i twórczy demaskator przesądów unoszących się odorem pojęciowej stęchlizny wokół dzieł polskich i obcych pisarzy.

Ale czas już kończyć te rozważania i przypomnienia, które nie są nawet skrótem dziejów naszej literatury międzywojennej, lecz mogą stanowić co najwyżej skromny przyczynek do jej sprawiedliwej oceny. Sądzę jednak, że z treści tego przyczynka wynika dość jasno wniosek następujący: obiektywna wartość literatury dwudziestolecia przerasta zdecydowanie pojemność „burżuazyjnego śmietnika" i przynależy do innych zgoła umiejscowień, choć niewątpliwie duża część tej literatury zasłużyła sobie na tak mało pochlebną, śmietnikową kwalifikację. I nie tylko to. Kazimierz Wyka w wymienionym wyżej artykule ustala dla twórczości literackiej dwudziestolecia dwie zasadnicze i symptomatyczne postawy: tragiczność (nie tragizm) i drwinę. Wydaje mi się, że poza względną, bo cząstkową, słusznością tego twierdzenia, pozostała — jak gdyby niezauważona — rozległa dziedzina zjawisk literackich, które nie z tragiczności ani z drwiny i nie tylko z tych dwóch źródeł brały swój początek. Ta bardzo obfita „reszta" twórczości, zarysowana w niniejszych rozważaniach pobieżnie i szkicowo, tkwiła głęboko swymi korzeniami w gruncie spraw realnych i dojmujących, z tej właśnie gleby czerpała ożywcze soki i — na przekór strażnikom urzędowej prawomyślności — zakwitała nierzadko bardzo wyraźną czerwienią.

Nie bądźmy zbyt niecierpliwi, nie śpieszmy się z przeprowadzaniem doraźnych i forsownych rozgraniczeń pomiędzy literaturą tamtego okresu a tym, co byśmy **dziś** widzieć w niej chcieli! Nie było tak źle, jak próbujemy niekiedy sobie wmawiać, bo tak źle w ogóle być nie mogło. W sferze ekonomiki społecznej można zmienić stan faktyczny jedną ustawą czy jednym dekretem. W dziedzinie zjawisk kulturalnych sprawa ma się całkiem inaczej: tu cechą wyróżniającą jest ciągłość, której linia — mimo wszelkich przeszkód zewnętrznych — biegnie nieprzerwanie, choć nie z jednaką wyrazistością, a zawsze równolegle z nurtem odbywających się w społeczności przebiegów i przemian. Ekskomuniki w stosunku do **całej** literatury międzywojennej i ryczałtowe jej dyskwalifikowanie jest, moim zdaniem, krzywdą i obrazą dla tych pisarzy, którzy w owym trudnym okresie nie ugięli karku pod naporem przeciwności, nie skrzywili swego moralnego kręgosłupa i spojrzeniem wiary i nadziei ogarniając przyszłość — szli w jej służbę bez wahań i kompromisów. Należą im się za to nie klątwy i dyskryminacje, lecz wdzięczność i zrozumienie ze strony tych, którzy chcą iść dalej.

Bolesław Dudziński

MARIAN R. BUCZKOWSKI

Łącznik Komendy Głównej *)

Łącznik Komendy Głównej na zdobycznym motocyklu gnał wzdłuż Złotej. Przeleciał Marszałkowską, sypnął się ponad nim obstrzał z Saskiego Ogrodu, krzyknął coś wesołego do chłopców stojących po bramach, i śmignął przez Zielną. Podniosłem rękę. Przyhamował. Otarł pot z czoła i przesunął beret w tył głowy ruchem zawadiackim i niecierpliwym.

— Co jest? — zawołał szykując się do dania mi odprawy.

— Obstrzał z Wielkiej, z prawej, — wskazałem ręką. Strzepnął palcami. — Bagatelka! — rzucił na pożegnanie i szorując podeszwą ruszył w przód.

Patrzyłem za nim. Był szczupły, motor podrzucał nim niemiłosiernie, ale chwiał się w biodrach z gracją, jakby siedział na koniu. Gnał środkiem jezdni pod flagami zwisającymi z obydwu stron ulicy — na oczach chłopców, pężetek i kolporterek z naręczami gazet, biegnących na swoje punkty. Skrzyżowanie Wielkiej ze Złotą wziął szczęśliwie, gdy nagle — rzucił się na lewo w tył a motor uderzył w narożnik kamienicy. Ktoś nawet roześmiał się. Podbiegły ku niemu sanitariuszki. Miałem zamiar biec, ale po ich ruchach poznałem, że — stało się.

Wniosły go na podwórko. Czoło miał lekko stłuczone jak dziecko, które potknęło się na progu. Na kołnierzyku było troszkę krwi, kula przeszyła kark. Młodziutka sanitariuszka przymknęła mu powieki nad oczami wyrażającymi ogromne zdziwienie. Paluszki miała drobne, różowe, na jednym z nich był cieniutki pierścionek z zielonym kamyczkiem.

Chłopcy z mojego oddziału obstąpili go w koło i przyganiali jakby żył: — Trzeba ci było, bracie, wziąć więcej na prawo. Inny dodawał: — Nie, motor trzeba było zostawić a samemu przeskoczyć, a tak sobie narobiłeś i motor strzaskany...

Kazałem sanitariuszce opróżnić kieszenie zabitego. Meldunek tkwiący w bocznej kieszonce bluzy poniosła łączniczka do dowódcy odcinka. Portfel, notes i jakieś listy przewiązane niebieską wstążką wziąłem do rąk i doznałem skurczu serca. Były ciepłe. Spojrzałem na twarz łącznika — była poważna, jakby zdawał sobie sprawę z tego, że czyjeś niepowołane oczy chcą zajrzeć w jego sprawy osobiste. Zawahałem się. Naszła mnie chęć oddania mu tych drobiazgów — noszących jeszcze ciepło jego serca — tych listów, dokumentów i znaków zamykających jego prawa do trwania, wysiłku i miłości. Skończył swój bieg. Na cóż może być komu potrzebne, abym szedł jego śladem — wstecz? Nachyliłem się nad jego ciałem, by złożyć na jego piersi papiery i wtedy opuściła mnie gorączka — oprzytomniałem. Świadomość nakazała mi wypełnić obowiązek. Papiery osobiste zabitego żołnierza należało oddać rodzinie, nazwisko i imię umieścić na krzyżu. Poprosiłem chłopców o wykopanie grobu na podwórku obok klombu z zinią, grafik na desce wyrył imię, nazwisko i — osiemnaście lat.

Wszedłem do stróżówki, w której kwaterowałem. Portfel wraz z listami zawinąłem w papier i położyłem na stole. Z podwórka dochodziło mnie dzwonienie łopat kopiących dół dla niego, pod czaszką dudnił mi wciąż motor i ostatnie jego słowo „bagatelka" przypominało się jakoś niejasno, jakby usłyszane poprzez szybę. Co on chciał przez to powiedzieć? Znów wzbierała we mnie gorączka, chwilami miałem wrażenie, że tracę jasność myślenia. Miewam takie stany, to paskudna pozostałość malarii, cudem przeżytej, mniejsza o to gdzie i w jakich okolicznościach. Męczyło mnie. Nad wieczorem wziąłem chininę, którą gdzieś tam wyrwali chłopcy. Całą noc na stróżowskim wyrku szczękałem zębami — w uszach wciąż dzwoniły łopaty i dudnił motor. Rano zajrzałem do papierów łącznika. Nie, nie ruszyłem listów, tylko raz jeszcze zajrzałem do dowodu osobistego, aby dowiedzieć się, gdzie mieszkał. Na Wareckiej. Był to krótki spacer.

W południe pożbierałem się i poszedłem odświętnymi ulicami. Wywieszone flagi, brak ruchu tramwajowego i duża ilość młodych mężczyzn i kobiet — przystrojonych dość fantastycznie — wszystko to podnosiło wrażenie odświętności. Warszawa była wolna, walka grzmiała na peryferiach, a w samym centrum tylko w nielicznych punktach tkwili Niemcy. To był trzeci dzień powstania. Kto tego nie przeżył, nie ma wyobrażenia o tym, jak smakuje wolność wywalczona własnymi rękami, wolność bezpośrednia, fizyczna, dotykalna! Trudno to wam wyjaśnić, wam, którzyście przywykli wolność pojmować abstrakcyjnie, prawnie lub etycznie. Warszawa wolna, dla was w Londynie lub Nowym Jorku, to była kwestia wyobraźni, dla nas to był fakt, trochę dziwny — jak wszystko co jest nieobliczalne — ale istotny, cholernie istotny.

Taki jakiś wiodłem monolog idąc na Warecką, jawnie i głośno ściskając po drodze przyjaciół, hałaśliwie witając się ze spotkanymi aktorkami i przerzucając dzienniki różnych partii, wciskane mi przez roześmiane dziewczęta. Chciałbym zaapelować do waszych wspomnień: gdy byliście bardzo młodzi, czy udało się wam nieraz zwolnić z jakichś nudnych i przykrych zajęć w szkole? Coś z tych uczuć przeżywała powstańcza Warszawa z tym, że szkoła, jaką nam dawali Niemcy, była wyjątkowo groźna i krwawa.

Na Wareckiej, w bramie domu oznaczonego w dowodzie zabitego, stały jakieś kobiety wiodące ożywioną rozmowę o volksdeutschach strzelających z dachów. Wymieniłem nazwisko łącznika i poprosiłem o informację, czy mieszka tu ktoś z jego rodziny. Kobiety spojrzały po sobie i wreszcie jedna rzuciła opryskliwie:

— A to ten — na trzecim piętrze, pod ósmym, niech pan mocno puka.

Gdy już byłem na schodach, jeszcze się obejrzały za mną i potrząsnęły ramionami. Nie zastanawiałem się nad tym, przejęty rolą, którą miałem wypełnić. Jak się odezwać do tych jego bliskich? Jak ich przygotować? Nie wiem dlaczego w wyobraźni widziałem jego matkę, starszą, lecz jeszcze piękną kobietę i dwie siostry i jeszcze kogoś, może krewnych lub przyjaciół.

Na trzecie piętro, zrobione z części strychu, prowadziły schody wąskie jak na ambonę. Przed drzwiami z ósmym numerem stanąłem pochylony, bo dach wisiał nad głową. Wyciągnąłem rękę, aby zapukać, gdy nagle drzwi odskoczyły bez szelestu i jakieś bure, włochate stworzenie skoczyło na mnie chwyciwszy obiema łapami za kark. Straciłem równowagę i runąłem wraz z napastnikiem do wnętrza. Zanim zdołałem wymierzyć pierwszy cios w swojej obronie, wściekły uścisk zwolnił i przed swoim nosem zobaczyłem zdumione i przerażone oczy starego człowieka. Tak, to był stary człowieczyna; twarz jeszcze czerstwą miał spękaną zmarszczkami, włosy opadające w pasmach były rdzawo-szare. Gdy wolno podniósł się, stwierdziłem, że postawy był drobnej, trochę kabłąkowatej, ale jeszcze zwięzły, krzepki. Brązowy włóczkowy jumper obcisły i długi oraz sznurkowe trepy na nogach, to pierwsze co mnie uderzyło w jego postaci. Trudno mi wytłumaczyć, ale te właśnie szczegóły ubioru wpłynęły na mnie uspokajająco. Człowieczyna gmerając ręką poza plecami zamknął drzwi na klucz i wpatrując się we mnie nieustępliwie, zapytał: — Pan kto?

Uderzyło mnie w jego głosie coś nieuchwytnego, coś co mówi więcej niż wszelkie inne poznanie, coś, w czym tai się cały ogrom człowieczej doli, cierpienia, miłości i może jeszcze czegoś dokonywającego się już w najtajniejszych głębiach naszego jestestwa.

Może się wam to wyda dziwne, ale doznałem zażenowania. Miałem wrażenie, jakobym popełnił jakiś gruby nietakt, albo znalazł się niepowołany w kręgu wydarzeń bardzo osobistych, delikatnych i uchylających się pospolitemu rozumowi. A równocześnie coś mnie zatrzymało, może spojrzenie jego starczych niebieskawych oczu, może spokój wypełniający cztery ściany biednego pokoiku, a może coś, co było w tym człowieku, a czego nigdy nie będę w stanie właściwie pojąć. To dzisiaj tak przedstawiam moje ówczesne wrażenia. Wtedy byłem daleki od wszelkiego obiektywnego rozumowania; ogarnęła mnie wprost dziwna atmosfera mroku, pełna głębi i smutnej urody.

Raz jeszcze spojrzałem na starego. Stał z bezradnie opuszczonymi rękami, wpatrzony we mnie z rozczuleniem i pojąłem, że nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi na swoje pytanie. Zdawało mi się, że spojrzeniem swoim przepraszał mnie za swój dziwny wybryk czy żart. Zrobiłem krok, aby usiąść na krześle, bo uczułem duszność i zmęczenie. Wtedy zobaczyłem dwie duże palmy stojące w przyokiennej wnęce, mającej górne światło i jeszcze jakieś tam listowie a nawet olbrzymi biały kwiat kaktusa. Na podłodze stały cementowe rynienki z wodą, ściany lśniły, a na suficie wisiały krople wilgoci. Od pieca szło ciepło.

Przyznacie, że to nie była zwyczajna rzecz... W walczącym mieście znaleźć się wśród tropikalnej flory na trzecim piętrze i do tego po takim przywitaniu!

Stary musiał zauważyć moje zdumienie, bo objaśnił cicho, z wahaniem: — Moja praca naukowa.

Gdyby to powiedział kto inny, pomyślałbym że kpi, ale on? Nie, to on raczej bronił się przed kpinami. Chciałem mu jakoś okazać, że rozumiem i cenię jego pracę naukową, ale nie przyszło mi do głowy nic lepszego nad powstanie i podsunięcie mu krzesła. Rzucił się do podziękowań, ja nawzajem go przepraszałem, aż położył rękę na moim ramieniu i raz jeszcze przekonałem się, że był silny. Dałem za wygraną, bo pot kroplami spływał mi po twarzy, a bezwład ogarniał całe ciało. On stał dalej w tym samym miejscu przy drzwiach i patrzył mi w oczy, jakby obserwował we mnie wegetację, krążenie soków, puls roślinny...

Wyrażam się, być może, niewłaściwie, gdy chodzi o was, ale gdy o nim myślę, tak właśnie jest najtrafniej.

W jakimś momencie uświadomiłem sobie, że muszę przecież coś począć w sprawie, która mnie tu sprowadziła. Byłem pewny, że trafiłem właściwie, że pomiędzy tym starcem a zabitym istnieje jakaś więź, a równocześnie coś mnie ostrzegało, że jestem na krok od popełnienia błędu.

Wymieniłem nazwisko łącznika, zapytałem, czy jest jego krewnym. Nie zauważyłem żadnej zmiany w twarzy starego ani najdrobniejszego poruszenia, gdy zapatrzony we mnie odpowiadał monotonnie:

— Mój syn, czwarty. Najdłużej był ze mną. Nie puszczałem go nigdy samego. W ogóle uważałem, że nie powinien wychodzić z domu. Każdy to przyzna. Był dobrym dzieckiem. Ostatnio od roku nie opuszczał pracowni. Wskazał palcem: — tu jest jego łóżko, a tu na tym stole przerabiałem z nim lekcje. Miał tu wszystko. — Z bocznej kieszeni jumpra wyjął gruby notes obciągnięty gumą i, nie zajrzawszy weń, mówił dalej: — Dwudziestego ósmego czerwca o godzinie dziesiątej trzydzieści korzystając z mojej chwilowej nieuwagi wymknął się. Przysłał mi list z niepotrzebnym przeproszeniem i nieuzasadnionym tłumaczeniem swego kroku. — Zamilkł, jakby się zastanawiał nad czymś: — Wczoraj jakaś panieneczka przyniosła karteczkę — potrząsnął notesem — że dziś wpadnie do mnie. Uważa pan — wpadnie do ojca... — Przerwał. Na schodach, na samym dole słychać było czyjeś kroki. To był jedyny moment, w którym zauważyłem żywy skurcz w jego twarzy, a w całej postaci jakby przyczajenie.

— On wnet tu będzie. Pan wybaczy, że do tego czasu zatrzymam pana. Nigdy nie jest się dość ostrożnym. — Wstrzymał się, jakby wspominał własne niedopatrzenia lub obmyślał nowy rodzaj przezorności.

Byłem w stanie jakiegoś omdlenia, niby po narkotyku, wrażliwość była silnie uczulona, ale reakcje myślowe blade i dlatego nie przeżyłem w tym momencie niczego, co by można nazwać wstrząsem. Nawet uległem złudzeniu, że słyszę o sprawach zaprzeszłych, że uczestniczę w zdarzeniach, w których wola już nic zmienić nie jest w stanie, że obserwuję uczucia, które są tylko echem cierpień już dawno do samego dna strawionych.

— Pierwszy zginął na początku, drugiego rozstrzelali na Palmirach, trzeci — złapany na ulicy — umarł w więzieniu. To już dość. Więcej nie mogę. Postanowiłem walczyć z tą śmiercią. Obmyśliłem wszystko dokładnie. W swoje własne ręce wziąłem los najmłodszego i trzymałem... Trzykrotnie zmieniłem mieszkanie. Nie pozwoliłem mu wychodzić. Zatopiłem jego umysł w nauce. Odgrodziłem go szczelnie od tych potwornych rzeczy, które się działy za ścianami.

Przymknąłem powieki. Głos wciąż monotonny skandował słowa sucho, bez barwy, bez wzruszenia. Miało się wrażenie, jakby ktoś drugi mówił za niego. Skulony w sobie, pochłonięty był czuwaniem. Ten stan trwożnego napięcia i nieustannej czujności nie opuścił go do końca.

— A jednak skorzystał z chwili mojej nieuwagi. Trzeba było panu słyszeć, jak leciał po schodach przeskakując po trzy stopnie na raz. Szalony, mógł sobie nogi połamać! A przecież nie miałem zamiaru go gonić. Tłumaczył się z tego w liście. We wczorajszej kartce napisał, że dzisiaj przyjdzie i wszystko wyjaśni. Nie mam o to żalu. Skoro pan tu przyszedł, musi go pan znać. To chłopak, do którego nie można mieć żalu. Dobry chłopak.

Nagle przysunął się do mnie, nachylił i wyszeptał ze straszliwą żarliwością:

— A właśnie dlatego chwycę go, zamknę, nie wypuszczę, związę. Niech żyje, on ostatni.

Wtedy raz jeden dojrzałem w jego oczach obłęd.

Zmuszałem siebie, aby coś postanowić. Drzwi były zamknięte, klucz gdzieś zniknął, wiedziałem, że stary za nic w świecie nie zgodzi się mnie wypuścić. Biedak wyobrażał sobie, że z jego synem łączy mnie przyjaźń i że mogę chłopaka ostrzec przed szykowaną pułapką. Prosić starego było rzeczą bezcelową, grozić bronią — ohydną, a powiedzieć prawdę — nieludzką. A przecież powinienem już być w oddziale. Wprawdzie stanowisko moje polegało na robocie dziennikarskiej, byłem reporterem przydzielonym do linii, ale obowiązek nie przestawał być obowiązkiem. Tego dnia mój oddział był w odwodzie, lecz lada godzina mógł nadejść rozkaz wypadu. Poza tym wydało mi się, że w tym tropikalnym pokoju-cieplarni tkwię już nie wiadomo jak długo i że wszystko, czego byłem świadkiem i słuchaczem, to jakieś dawne, przebrzmiałe i nieważne. Wyobraźcie sobie, tak właśnie pomyślałem...

Gdy otwierałem oczy, bo mimo wszystko szalony bezwład mnie wciąż morzył, stary warował nieporuszenie w tym samym miejscu nie spuszczając ze mnie oczu.

Powiadam wam, zmuszałem siebie do jakiejś decyzji. Cóż byście sami zrobili, znalazłszy się w takiej sytuacji? Jest to sprawa temperamentu, taktu i wychowania. Tak. Lecz rzecz była bardziej skomplikowana, niż można by z pozoru sądzić. Czułem, że w tym tropikalnym pokoju odbywa się dramat szerszy niż zdarzenia, które poznałem. Coś urzekającego wychylało się z lśniącej zieleni palm, jakieś niedomówienie jak niedosłyszalny szept oplatywało fakty, a wszystko co już się dokonało tkwiło jakby na powierzchni tajemniczej głębi. Nie zdobyłem się na żadną decyzję. Uległem. Ile w tym było osłabienia fizycznego, a ile poddania się przymusowi — nie potrafiłbym określić. Czułem, jak powoli zagłębiam się w jakiś nowy wymiar, jak wchodzę w odmienny klimat i uczestniczę w rzeczywistości dotychczas niespodziewanej.

Musicie pamiętać wciąż o tym, że mimo wszystko byłem człowiekiem trzeźwym i jasno myślącym i że to wszystko się działo w mieście objętym walką, parę kilometrów od gigantycznego frontu niemiecko-sowieckiego, gdy wojska anglosaskie parły na Paryż, a więc w warunkach bardzo dokładnie określających się, wymiernych i realnych. Do pokoju dochodził wyrazisty grzechot karabinów maszynowych; wybuchy granatów targały sufitem, a wystarczyło rzucić wzrokiem za okno, aby zobaczyć olbrzymie zwoje dymu, buzują-

*) Fragment powieści pod tym samym tytułem.

cego nad podpalonymi domami w Alei Sikorskiego.

Stary wciąż stał przy drzwiach i słuchał. Naszła mnie ochota do zwierzeń. Nie wiem dlaczego, nie potrafię tego wytłumaczyć. Poprzedniego dnia, gdym usiłował usnąć na chwilę na swym wyrku w stróżówce, byłem słuchaczem zwierzeń chłopców z mojej drużyny. Opowiadali o swoich młodszych braciach i siostrach, niektórzy o żonach i dzieciach. Dwóch z nich zginęło o świcie przy pierwszym ataku na Pastę. A może chciałem staremu przynieść ulgę, bo niektórzy z was wiedzą, że ani los, ani wrogowie nie oszczędzili mi cierpień i strat...

Lecz mogłoby się też okazać — dziś mi to przychodzi na myśl — że usiłowałem zdobyć jego zaufanie, przychylność i zwolnienie. Widział mnie przecież po raz pierwszy, ostatecznie nie mógł być pewny kim jestem i w jakich przyszedłem zamiarach. Może chciałem, żeby w tym starcu nie powstał cień wątpliwości lub wahania. W prostych i szczerych słowach dawałem mu do zrozumienia, że jestem mu bliski, że także cierpię i borykam się. Klnę się na Boga, że nie myślałem go prowokować. Przenigdy! Jesteście pierwsi, którym usiłuję opowiedzieć to, co zaszło. Nie przychodzi mi to łatwo. Nie będzie to dla was jasne, jak nie było jasne dla mnie, jak nie jest jasne nic, co jest poza czystą abstrakcją.

W opowiadaniu moim musiały na pewno tkwić jakieś elementy styczne z jego doznaniami, musiało żarzyć się coś, co spowodowało wybuch w nim. Nie mam ochoty tego rozbierać ani o tym mówić. Stary kilkakrotnie poruszył się, przecierał oczy dłońmi i oparł się plecami o drzwi. Niecierpliwił się wyraźnie. Chwilami miałem wrażenie, że nawet nie zwraca uwagi na to, co mówię. Czatował na przyjście chłopca. Nagle, gdym się najmniej tego spodziewał, rozkrzyżował ręce, odrzucił głowę w tył i wyszeptał przejmująco:

— Niech pan strzela!

Trzasnęło to we mnie jak strach. Bezwiednie, odruchowo położyłem rękę na kaburze pistoletu. Wtedy runął przede mną na kolana. Zanim zdołałem ochłonąć, powiedzieć coś lub wykonać uspokajający ruch, doszły mnie jego słowa lecące przez bełkot, przez łzy i rozpacz:

— Wiem, wiem wszystko. On już tu nie przyjdzie, nie przyjdzie nigdy. Na próżno czekałem. On nie mógł tego zrozumieć. Nie mógł mi wybaczyć. Gdyby dorósł, gdyby miał własne dzieci kiedyś — pojąłby...

Uderzył czołem w podłogę. Chwyciłem go za ramiona, aby go podnieść, ale otrząsnął moje ręce i znów tym swoim żarliwym szeptem błagał:

— Niech mi pan strzeli w ten głupi łeb. Już mam dość. Nie chcę czekać, nie chcę, ani chwili. Koniec. Ostatni był i najmilszy.

Podniosłem go jednak i posadziłem na krześle. Najchętniej byłbym skorzystał z tej chwili, żeby wywalić choćby drzwi i uciec, gnać przed siebie, na barykadę, w samą linię ognia, byleby nie słyszeć... A równocześnie wiedziałem, że nie mogę go zostawić w takim stanie, że muszę go jakoś uspokoić i wyjaśnić ten straszliwy splot powikłań. Poza tym miałem nieodparte przekonanie, że on mojej osobie przypisuje istotnie jakąś złowrogą rolę. Położyłem palce na jego splecionych na piersi rękach i prosiłem o wybaczenie, że mu sprawiłem przykrość. Przekonywałem go jak dziecko, że jestem przyjacielem i jego i jego syna... Płakał krótkim, urywanym szlochem.

Usiadłem przy nim na podłodze i uczestniczyłem w czymś, do czego absolutnie nie byłem przygotowany. Pamiętajcie, że z ducha byłem awanturnikiem odważnym i chłonnym na zdarzenia, lecz bezradnym i oschłym wobec wszelkich manifestacji uczuciowych. Poza tym — moment! Nie, nic, absolutnie nic nie usposabiało do refleksji ani wysłuchiwania zwierzeń, a jednak nie ruszyłem się. Pozostałem do następnego dnia.

Noc była długa, jak grzmotami ostrzeliwana przez „Tygrysy", rozrywana błyskawicami rakiet. Krwiste pożary nabrzmiewały aż do bólu, a gdy w rozprysku iskier przygasały — budziła się nadzieja. Były jeszcze wtedy chwile, gdy dojrzeć można było gwiazdy. Stary tkwił w mroku na krześle, a ja, oparłszy plecy o ścianę, walczyłem z sennością, zmęczeniem i goryczą.

Marian R. Buczkowski

W poprzednim (62) numerze „Odrodzenia" z dnia 3 lutego: **Kornel Filipowicz:** Kłamstwo. — **Stanisław Ostrowski:** Nad „Panem Tadeuszem". — **Roman Bratny:** Demobilizacja. — **Jalu Kurek:** Pacierz Krysi. — **Kazimierz Wyka:** Klucz nie zawsze doskonały. — Z wystawy pośmiertnej Olgi Boznańskiej. — Młodzi poeci krakowscy: **Tadeusz Jęczalik:** Rachunek sumienia. Poeta. — **Tadeusz Kubiak:** Kryjaki, **Wisława Szymborska:** Z „Autobiografii dnia". — **Adam Włodek:** Zielony list. — **Stefan Flukowski:** Humanista w ogniu walki. — **Mieczysław Dereżyński:** Kaszubska literatura regionalna. — **Wilhelm Mach:** Noc bez świtu. — **J. A. Szczepański:** Dziennikarz i dziennikarstwo. — **Helena Michcińska:** „Jak jaśnie pan Mądralica szukał szczęścia po ulicach"... — **Jan Reychman:** Czeskie straty na polu kultury. — **Łazarz Kobryński:** Sztuka Priestleya na scenie moskiewskiej. — **zb:** Przegląd prasy. — **Tadeusz Dobrowolski:** Wystawa pośmiertna obrazów Olgi Boznańskiej, grafiki Tadeusza Cieślewskiego (syna) oraz wystawa zbiorowa Eugeniusza Gepperta. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia koncertowego w Krakowie. — Korespondencja **(Jerzy Ficowski).** — 4 ilustracje. — 8 stron.

ANIELA STEINSBERG

Stefania Sempołowska

Stefania Sempołowska

2 lutego 1943 r., w jednym z najstraszniejszych dni pacyfikacji Warszawy, nazajutrz po zgładzeniu szefa gestapo Kutschery, drobna grupka przyjaciół zebrała się na Powązkach, na pogrzebie Stefanii Sempołowskiej. Przybyło zaledwie kilkanaście osób, ludzie bali się tego dnia wychodzić z domów, mury Warszawy płonęły nazwiskami rozstrzelanych, policja szalała na ulicach. Przyjaciele zebrani nad grobem rozmawiali półgłosem o tym, jaki hołd złożyłaby ludność stolicy p. Stefanii, gdyby jej pogrzeb odbywał się na wolności, o tym, czym była p. Stefania dla Warszawy, dla kraju. Marian Falski powiedział wówczas: „Była sumieniem Polski naszej epoki". Słowa te może najtrafniej ze wszystkiego, co dotychczas o p. Stefanii mówiono i pisano, ujmują istotę jej działalności i życiowej roli.

Wspaniała indywidualność Stefanii Sempołowskiej przejawiła się w wielu dziedzinach współczesnego życia. Była wielkim pedagogiem. Jeżeli twierdziła, że powinna była istnieć dziesiąta muza, muza wychowania, sama niewątpliwie była przez tę muzę natchniona. Była twórcza w dziele swojego życia, opiece nad więźniami. Wywierała wpływ na młodzież i starszych, działała swoim osobistym czarem, romantyzmem swej postaci, siłą sugestywnej wymowy.

Istotne jednak znaczenie p. Stefanii polega na absolutnej niezależności i śmiałości stanowiska, jakie zajmowała wobec wydarzeń współczesnego życia społecznego. Miała tę tak rzadką odwagę nie tylko spojrzenia prawdzie w oczy, ale i wyciągnięcia stąd najdalej idących konsekwencyj i głośnego ich wypowiedzenia. Nie cofała się nigdy przed odsłanianiem wstydliwie ukrywanej rzeczywistości i wypowiedzeniem zaciętej walki zakłamaniu i niesprawiedliwości. Wierna swoim poglądom moralnym i politycznym nie uznawała liczenia się z tzw. koniecznościami życiowymi. Była istotnie sumieniem, które reagowało natychmiast na każdą krzywdę. Jej głos niepokoił, wzywał do buntu i czynu.

Jako nauczycielka nie uprawiała wobec dzieci „brązownictwa". W najdrażliwszych kwestiach zajmowała jasne, zdecydowane stanowisko, nie zważając na możliwość konfliktów nawet z rodzicami i wychowawcami

Jako działaczka społeczna, patriotka i socjalistka, w najczystszym znaczeniu tych słów, nie uznawała żadnych ustępstw, żadnego liczenia się z koniunkturą. Nawet stronnictwom, z którymi była ideowo związana (nie należąc zresztą do żadnego), nie wybaczała taktycznych kompromisów.

Każda instytucja, w której pracowała, nabierała rumieńców życia, a jednocześnie stawała się ośrodkiem „buntowniczych", rewolucyjnych dążeń, ściągając na siebie represje i oburzenie czynników „dobrze myślących". Tak było od najmłodszych jej lat.

Umiała z niezwykłą pomysłowością wyzyskać legalne instytucje pod zaborami dla prowadzenia pracy niepodległościowej i socjalistycznej. Skromne czytelnie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku przekształciły się przy jej współpracy w konspiracyjną placówkę oświatową o charakterze lewicowym. W ślad za tym pojawiła się pierwsza denuncjacja ze strony rodaków w piśmie „Rola", nastąpiło pierwsze aresztowanie p. Stefanii.

W śpiącym, przez konserwatywnych Stańczyków opanowanym Krakowie jej wystąpienia przeciwko biurokratyzacji szkolnictwa i klerykalizmowi wstrząsnęły opinią publiczną, wywołały entuzjazm młodzieży, a represje ze strony czynników oficjalnych. W rezultacie p. Stefania musiała opuścić Kraków. Po powrocie do Warszawy stanęła w pierwszych szeregach bojowników o szkołę polską. W jej przemówieniach i artykułach zarysowały się plany reformy oświaty. W okresie niepodległości, w czasie organizowania szkolnictwa była wyrazicielką i obrończynią demokratycznego programu reformy. A później, w miarę stopniowego wprowadzania wstecznych reform, brała na siebie rolę oskarżyciela systemu. Bez litości demaskowała i piętnowała reakcyjność i ciasnotę endeckiej i sanacyjnej polityki oświatowej.

Stefania Sempołowska

Kancelaria adwokata Patka, początkowo normalne biuro obrońcy w sprawach karnych, stała się pod osobistym wpływem p. Stefanii ośrodkiem zrzeszenia obrońców w procesach politycznych, polskiej ligi obrony praw człowieka i obywatela, która przetrwała nie tylko okres po rewolucji 1905 r., ale i lata niepodległości.

Nazwisko Stefanii Sempołowskiej zrosło się ze sprawą więźnia ideowego, stało się jej symbolem. I oto w r. 1919 powstaje kwestia opieki nad jeńcami w Polsce i Rosji, wyjeżdżają misje Czerwonego Krzyża na zasadach wzajemności. Misja polska przybywa do Moskwy, misja radziecka zostaje wymordowana w Łapach przez KOP. Cała sprawa opieki nad jeńcami, sprawa niezwykle paląca, zawisa w powietrzu. Wówczas to Związek Radziecki wyraża zgodę na ponowne jej zorganizowanie pod warunkiem, że Stefania Sempołowska zostanie delegatką rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Na usilne prośby Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. Stefania przyjmuje delegację i bierze sprawę w swoje ręce. I znowu jej biuro, mieszczące się w jednym pokoiku przy mieszkaniu na Smolnej, rozrasta się daleko poza pierwotnie nakreślone ramy, wbrew wszelkim trudnościom i przeszkodom. Nie ogranicza się do niesienia pomocy więźniom, nie traktuje tej sprawy z punktu widzenia charytatywnego, lecz podejmuje walkę o prawa więźnia politycznego i przez 20 lat walczy niezłomnie i prawie samotnie, poruszając z niezwykłą energią sprawy metod śledztwa, organizacji więzień i regulaminu więziennego.

Głos jej odzywa się stale i zawsze w sprawach najboleśniejszych, najbardziej palących i wstydliwych. P. Stefania nie uznaje polityki „niezadrażniania", jest nieubłagana w swoich żądaniach w stosunku do społeczeństwa i jego przywódców. Jej głos, głos sumienia, nie pozwala żyć spokojnie, godzić się z krzywdą, niesprawiedliwością, kołtuństwem, wzywa do jasnego stanowiska, do oporu, do walki. Walczy sama na najbardziej wysuniętych pozycjach w obronie mniejszości narodowych i przeciw antysemityzmowi.

Przez dwadzieścia lat, nie zajmując żadnego oficjalnego stanowiska, nie wychodząc prawie ze swego mieszkania przy ul. Smolnej, potrafiła przyczynić nielada kłopotów kolejnym ministrom oświaty, sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Była jednym z najbardziej niewygodnych dla nich ludzi. Ministrowie byli trochę bezradni — jakie zastosować środki przeciwko tej dostojnej pani, którą kochała i szanowała przodująca część społeczeństwa, w jaki sposób uciszyć głos sumienia?

Walkę prowadzono po cichu, ale z zaciętością. Stopniowo p. Stefania przestała uczyć w szkołach i zakładach kształcenia nauczycieli, zachowała jedynie trochę lekcyj w prywatnych szkołach dla dzieci żydowskich. Polskie dzieci zostały wyjęte spod jej „destrukcyjnego" wpływu.

Wydawane przez nią pismo „W słońcu", wyrugowane ze szkół, przestało wychodzić z braku środków finansowych.

Kolejno uległy konfiskacie: praca „W więzieniach", list otwarty do ministra sprawiedliwości w sprawie regulaminu więziennego i książka o Warszawie. Powoli ograniczano jej dostęp do więzień, aż wreszcie w r. 1938 nastąpiło zniesienie Delegatury Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, zamknięcie biura pomocy

WITOLD WIRPSZA

Biały wiersz

Pozdrowieni czystość niosący
na barkach, jak kosze srebrnych ryb. Dzień poza nimi
zsunie się z pleców w rzekę — wydłuży chropawą ulicę
płócienną taśmą aż po brzeg, przesunie miasto, wieżę ratuszową
i dzwonnicę i rynek do przodu, aż oczy odpoczną.
To oni o zmroku
napełnią niebo seledynem i ułożą czerwone szyby zachodu w rzece.
To oni mocni są wstrzymać czas i czarnym konturem,
niby węglową kreską, narysować swe domy, aby nie zatonęły
w pustym sześcianie nocy. To oni wreszcie
przystaną na bruku, by rozżarzyć fajki i zaciągnąć się dymem.
Za nimi dzieci, opalone półnagie cyganiątka, wpadną w wodę
i rozpluszczą rzekę, chlustając fioletowe bryzgi na osuwający się łeb wieczoru.
Pozdrowieni rybacy, niosący czystość na barkach,
jak kosze srebrnych ryb.

Erotyki

1
Obwód łzy: wygięcie przeźroczyste, świętość linii,
ujęcie światła. Jedynie miecz błyszczący,
jedynie rzęsa
rozetnie twarz, odbitą we łzie. Pomyśl:
tak samo się rysują kobiece biodra,
lecz odpływają ku ustom i stopom.
Pochwalam łzy; są doskonałe jak łuk renesansowy.

2
Powracam do ciebie — ścigany tobą.
Rytm się rozszerza wspaniałością, ciepłem, porankiem: krążeniem krwi
i cofa się zdziwiony.
Opowiesz mi, jak twoje ręce szukały moich przegubów,
opowiesz, jak stałaś się przestrzenią, zamkniętą przez moją myśl.
Opowiesz mi, jak czerwień zmieniła się w pionową linię.

3
Nieostrożna obecność! Trwożliwie
rzucasz przede mnie skórę sarny!
Jakąż ofiarę całopalenia
złożyć w zamian za bezpieczeństwo?

Ucisz tylko twoje oczy,
wołające kropel wielkich jak sławy,
przeźroczystych jak greckie wnętrza.
Ucisz tylko twoje oczy.

Ukryj się we mnie jak w izbie
gościnnej, dymiącym mlekiem.
Rozmawiajmy o dzieciństwie. Zobaczysz,
że zniknie nieostrożna obecność.

więźniom. Mimo to p. Stefania nie przestała niepokoić sfer rządowych. Głos jej nie zamilkł, wpływy nie ustały. Zamknięcie biura pomocy więźniom odbiło się echem w opinii publicznej, stało się tematem interpelacji w sejmie, licznych artykułów w prasie. Wiadomo było powszechnie, że to p. Stefania zainicjowała listy składek dla ofiar ekscesów antysemickich w momencie ich przyjaznego tolerowania przez Ozon, że pod jej wpływem na listach tych pojawiły się najbardziej szanowane w Polsce nazwiska. Wiadomo, że u niej w domu, z jej inicjatywy, odbywały się zebrania obrońców w sprawach politycznych, że w rozmowach tych brali udział działacze społeczni, pisarze, wybitni goście cudzoziemscy, że omawiane były sprawy nadużyć w więzieniach, bicia więźniów, Berezy, że tam rodzą się protesty, deklaracje, nieprzyjemne wnioski i interpelacje w sejmie.

Aresztować p. Stefanię było trudno, ale trzeba ją było unieszkodliwić przez stworzenie dookoła niej pustki, trzeba było zaznaczyć, że przyjaźń z nią jest źle widziana, może zaszkodzić.

Halina Górska, dawna uczennica, napisała w lwowskich „Sygnałach" artykuł o p. Stefanii, jako swojej nauczycielce. Pismo skonfiskowano. Prokurator oświadcza na sali sądowej, że artykuł zawierający pochwałę Sempołowskiej, zawiera pochwałę przestępstwa, bo Sempołowska jest osobą podejrzaną!

Pod bramą domu przy ul. Smolnej w ostatnich miesiącach przed wojną pojawia się tajniak, który legitymuje ludzi wychodzących od p. Stefanii i szeroko otwiera oczy, słysząc znane i szanowane w Polsce nazwiska gości tej podejrzanej osoby.

Wszystkie te sposoby nie zdołały załamać p. Stefanii. Pozostaje sobą i kończy swoją działalność wielkim akordem z początkiem wojny. We wrześniu 1939 r. mieszkanie przy ul. Smolnej na nowo tętni życiem, biuro opieki nad więźniami politycznymi wznawia w pełni swoją działalność. Pierwsze kroki więźniów politycznych opuszczających więzienia po wybuchu wojny prowadzą do p. Stefanii. Tu otrzymują pierwszą pomoc i stąd idą na dalszą walkę.

Podczas okupacji czeka p. Stefanię już tylko cierpienie, tułaczka, upadek sił i śmierć.

Dziś w przełomowych dla narodu chwilach brak jest p. Stefanii. Do głosu doszli ludzie bliscy jej ideowo, z wieloma była związana przyjaźnią. Wielu korzystało z jej opieki w ciężkich momentach życia. Stanęłaby dzisiaj znowu do pracy, a trzeba sobie powiedzieć, że pewnie i teraz nie byłaby dla wszystkich wygodna, bo głos p. Stefanii pozostałby tym, czym był zawsze: głosem sumienia, który budzi niepokój, nie pozwala zadowolić się połowicznymi osiągnięciami, pogodzić z tzw. złem koniecznym, lecz bezustannie i bezwzględnie żąda.

Postać p. Stefanii, jako pionierki ideałów, które stają się dzisiaj realnym programem, zasługuje na upamiętnienie w chwili obecnej. Nie chodzi tu jedynie o uczczenie jej pamięci. Indywidualność p. Stefanii może jeszcze zza grobu wywierać wpływ. Bujne, bogate jej życie, a przede wszystkim stosunek do zjawisk społecznych będący zaprzeczeniem wszelkiego szablonu, mogą wzbudzić zainteresowanie szerokich kół czytelników, którzy nie mieli sposobności osobistego z nią obcowania.

Pozostała po niej puścizna literacka była tylko częściowo wydana przed wojną. Jeżeli nie zostanie zebrana i wydana obecnie, ulegnie rozproszeniu i zniszczeniu. Skonfiskowana praca „W więzieniach" uratowała się w korekcie w jednym egzemplarzu na luźnych kartkach; list otwarty do Ministra Sprawiedliwości w sprawie regulaminu więziennego prawdopodobnie najwyżej w kilku egzemplarzach. Artykuły polityczne z najrozmaitszych dziedzin, artykuły w sprawie oświaty i więziennictwa rozsiane są po różnych pismach na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Zachowały one swoją świeżość, poruszają zagadnienia dzisiaj palące. Zebrane i wydane w formie książkowej odzyskają swoją wartość, rozproszone i niedostępne utoną w zapomnieniu. W Drukarni Narodowej w Krakowie zachował się według wszelkiego prawdopodobieństwa gotowy do druku rękopis drugiego tomu książki o Warszawie, pod redakcją Stefanii Sempołowskiej. W zakamarkach bibliotek leżą zapewne roczniki pism „Z bliska i z daleka" i „W słońcu" z mnóstwem pięknych artykułów dla młodzieży pióra nie tylko p. Stefanii, ale i innych wybitnych pisarzy.

Materiały dotyczące życiorysu p. Stefanii, jej osobiste wspomnienia w rękopisach, archiwum Delegatury Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, listy, fotografie, pamiątki, obrazy i urządzenie pokoju na Smolnej, przez który przewinęło się tyle spraw i ludzi, wszystko to spaliło się w czasie powstania warszawskiego. Pozostała tylko pamięć współczesnych, a i ta uległa i ulega znacznemu kruszeniu: ludzie wymierają i za parę lat nie będzie pewnie już w ogóle można odtworzyć życiorysu p. Stefanii. Czas nagli. Sprawa ta nie może być załatwiona przez ogłoszenie mniej lub więcej lirycznych wspomnień ludzi, którzy byli z nią związani. Wydanie życiorysu i dzieł Stefanii Sempołowskiej jest zadaniem obszernym i poważnym, które ma charakter nie tylko historyczny, lecz łączy się z nurtem współczesnego życia i powinno być podjęte przez odpowiednie czynniki w najszybszym czasie.

Aniela Steinsberg

JERZY PUTRAMENT

Wielkanoc

Porucznik Jaźwiński nie widział żony przez trzy lata. Dopiero przed paru miesiącami dowiedział się, że żyje, jest także w wojsku, nawet nie bardzo daleko. Ta wiadomość, a zwłaszcza listy od niej i do niej ucieleśniły jego tęsknotę. Anna wypełniła mu sny, myśli, co gorsza — uczynki, w dużej mierze stracił swoje wychowawcze, oficerskie walory, które sprawiały, że siedział jeszcze w tej dziurze, podczas gdy armia szykowała się do skoku naprzód. Napastował dowódcę szkoły, tłumaczył, że tuż obok, że żona, że trzy lata. Tamten nie mógł pojąć doniosłości tego zagadnienia. Więc co, że żona? On także ma żonę, także daleko, także parę lat. I jakoś sobie radzi.

Dopiero ta Wielkanoc uratowała Jaźwińskiego. Dostał trzy dni urlopu. — Ale żebyście wrócili na czas, bo ruszamy! — groził dowódca. Jaźwiński wyliczył, że da mu to — może ze trzydzieści godzin, a jeśli źle pójdzie — to jednak cały dzień z Anną. I noc.

Poszło źle. Przygodny samochód zepsuł się na szosie, szofer był pijany, nie śpieszyło mu się z naprawianiem. Wieczorem nocowali w jakiejś obszarpanej wiosce, o kilkanaście kilometrów od celu. Chciał iść na piechotę, ale była to pora straszliwych roztopów. Tylko szosa się trzymała, ale szosa kończyła się tuż za wsią.

W niedzielę z rana złapał rozklekotaną ciężarówkę, która miała przejeżdżać przez Niemirowo — tam gdzie Anna. Urlop w połowie już pożarły złe drogi i pijani szoferzy. Siedział teraz na starej oponie, obijały mu boki puste bańki po benzynie, strugi gęstego, czekoladowego błota strzelały płaskimi parabolami na prawo i lewo, świątecznie wystrojeni przechodnie, wracający z kościoła, panicznie rozbiegali się na widok samochodu, brnąc przez grząską, bezdenną rolę, skacząc po płachetkach zleżałego śniegu.

W południe dowlekli się nareszcie do Niemirowa. Kępa wysokich topoli przy drodze, paręset metrów w prawo dwa rzędy białych i niebieskich domków, jeszcze dalej prawie liliowy zagajnik młodej olszyny. Między drzewami jeszcze śnieg. Potężne wiosenne słońce.

Anna czekała pod topolami. Ujrzał z daleka jakąś małą figurkę w zielonym, wojskowym płaszczu i od razu zadecydował, że to ona. Potem, gdy zbliżała się i rosła, ogarnęło go kłujące zwątpienie. Te grube buty, ta rogatywka połykająca cieniem czoło, oczy, a nawet kawałek policzka, ta cała postać ściśnięta pasem, ale grubsza i krótsza, niezgrabna — to ma być Anna?

Stał trzymając się dachu szoferskiej budki, patrzył i nawet gdy uniosła rękę w niemym powitaniu — nie odważył się odpowiedzieć. Dopiero tuż przed topolami — jej bezradny uśmiech — zaczął walić pięścią w dach, przerażony nagle, że szofer nie zechce stanąć, że tak oto gotów znowu ją stracić. Szofer istotnie jechał jeszcze przez kilkanaście sekund, wreszcie zwolnił, burknął przekleństwo za ten dach, stanął, już za topolami.

Jaźwiński przeskoczył przez budę ciężarówki, chlupnął ciężko w błoto, wielkimi susami ruszył z powrotem. Anna biegła do niego, ślizgając się z chrzęstem w gruboziarnistej, biało-żółtej masie zleżałego śniegu. Chwycił ją w ramiona, podświadomie zdumiony obcością jej kształtów i oszołomiony jej twarzą, jej zapachem, jej smakiem znanym, bliskim, utraconym, zapomnianym, tym droższym.

Pod topolami stali z kwadrans. Ale droga wiodła do sztabu armii, ruch był wielki, mimo że roztopy, że wielkanocna niedziela. Przeskoczył Willys z adiutancikiem przy szoferze. Uciekli za topole, kryjąc się przed błotem i spojrzeniami, które za dużo rozumieją, które nie pojmują niczego.

— Chodźmy do mnie — Anna wzięła go za rękę — mieszkam u takiej miłej rodziny. Mam nawet własny pokoik! — Była w tym duma: popatrz, jaka jestem zaradna! Była w tym także nieuświadomiona w tej chwili przez Annę zapowiedź, od której serce mu załopotało.

Brnęli przez gęste miesiwo błota. Anna szła przodem przeskakując z kałuży do kałuży, szukając szczątków lodu ukrytych na dnie — to jeszcze było najlepsze. Mówiła. Ale ten dystans zmienił temat. Zbliżał się do niej o krok, potem zostawał znowu. Słyszał urywki:

— Gospodarze mają syna. Jedynaka. Bardzo zdolny, miły, spokojny. Piętnaście lat... Pokoik czyściutki, ale bardzo mały... Wszyscy w stodołach... Dowódca pułku w tym domku z blaszanym dachem. Wieś bardzo przepełniona...

Czepiali się sztachet, balansowali nad bezdennymi, rozjeżdżonymi kałużami. W cieniu chat leżały sterty burego śniegu. Krzyczał kogut. Wróble zawzięcie ćwierkały.

Chata Anny była na końcu wsi, naprzeciwko nagiej, szaro-zielonej olszyny. Anna skinęła ręką: tędy niedawno przechodził front, tam podobno są jeszcze miny, za laskiem.

Sień pachniała jakimś dziwnym, jakby cytrynowym zielem rozwieszonym w pękach na ścianach. W izbie, czystej i ciasnej, stał stół z haftowanym obrusem, jakieś mięsiwo, kiełbasa, brązowo malowane jajka.

Gospodarze przyjęli go jak znajomego od dawna. Pewno Anna wiele im o nim opowiadała. Siedli do stołu, wszyscy w nastrojach uroczystych — że święto, że gość, że spotkanie. W staroświeckich, ośmiościennych kieliszkach z przesadnie grubym dnem znalazł się dobry samogon. Działał błyskawicznie, bo trafiał na grunt już urobiony świętem i czekaniem.

Piętnastoletni Piotruś, synek gospodarzy, pierwszy wstał od stołu. Prawie gwałtem wlał w niego ojciec parę kieliszków — jak to, na takie święto nie wypić? Trzech jego rówieśników, którzy wpadli do niego, także zmuszono do towarzystwa. Byli zresztą już po obiedzie i po wypitce. Hałaśliwą gromadką wyszli na ulicę, szukając jakiegoś terenu, aby poszwendać się i pobiegać. Poszli do olszynki, gwiżdżąc i popychając się.

Jaźwiński z trudem zmuszał się do odsiedzenia tych paru grzecznościowych minut z gospodarzami. W jego trzyletnim niepokoju i kilkumiesięcznej, niecierpliwej tęsknocie, nie było prawie nic z natarczywej, brutalnej pożądliwości: Pragnął widzieć Annę, mieć ją przy sobie, słyszeć jej głos, czuć — to najważniejsze — że nie jest sam w tym świecie, gdzie wszystko się przesuwa, zmienia, ginie, gdzie nie ma nic, o co człowiek mógłby się uczepić swoim własnym, malutkim uczuciem. Była dlań, jak za czasów narzeczeństwa, zbyt droga, zdawało mu się, że cielesne jej pożądanie będzie płaską zniewagą.

Ale teraz ta perspektywa kilkunastu godzin wspólnie spędzonych, z widmem rozstania jutro rano, sprawiała, że nie mógł już cieszyć się samym jej widokiem, jej głosem, dotknięciem jej ręki. To krótkie spotkanie wymagało natężenia przeżyć, inaczej byłoby nie do zniesienia. Bóg wie, jak dalej się ułożą losy, wojna toczy się, wojsko czeka na podeschnięcie gruntu, będą bitwy, i on i ona zetkną się ze śmiercią — co najgorsza — z osobna. Cóż zostanie temu z nich, który przeżyje?

Wódka dokonała reszty. Rozgrzeszyła go z myśli, które dotąd odpędzał jako prostackie i obraźliwe dla Anny. Teraz przypadkowe dotknięcie jej ręki wywoływało w nim niecierpliwy wstrząs. Co więcej, widział w jej oczach to samo.

Wstał wreszcie, dziękując urywanym głosem gospodarzom za przyjęcie. Poszedł za Anną do jej pokoiku.

Osobliwe było to mieszkanie; kąt, odgrodzony przepierzeniem od wspólnej izby. Stało tu łóżko i pod okienkiem krzesełko. Było tak ciasno, że kiedy weszli, musieli się znaleźć przy sobie.

Anna oderwała z wysiłkiem twarz od jego ust i wymownie zerknęła na sufit. Przepierzenie nie sięgało do pułapu. Gdy znowu zaczęła całować, jej wargi jakby przepraszały i prosiły — zaczekaj.

Siedli ciężko na łóżko. Chwilę milczeli. Słychać było, jak gospodarze krzątają się u siebie, sprzątają stół, szeptem przekazują sobie wrażenia na temat gościa. Samotność w tym kącie była tylko pozorna.

Gdzieś na wsi śpiewano. Żołnierze świętowali na swój sposób. Ktoś walnął kilka razy z pistoletu. Potem, przez kilka sekund pośpiesznie warczał czyjś automat. Nagle ostry wybuch załomotał o szyby. Wyjrzeli przez okno: bomba? Ale na wsi był spokój. Grupka oficerów siedziała na ławeczce o kilkanaście chałup w lewo. Czyjś ordynans zabawnymi susami przemierzał błoto uliczne.

Jaźwiński wyszedł z chaty, patrzył na słońce nie wierząc zegarkowi: ile jeszcze do nocy. Anna przyszła po chwili. Milcząc ruszyli pod płotami gdzieś w pole. Dłużej w pokoiku nie można było usiedzieć.

Szwendali się po wsi aż do zmierzchu. Nie było to przyjemne. Roztopy przygwoździły ludzi do chałup, do ławeczek, do belek leżących tu i ówdzie na podwórzach. Wszędzie pito, wszędzie śpiewano. Za ostatnią chałupą otwierał się istny ocean błota. Jaskrawe słońce roztopiło nową porcję śniegu.

W końcu usiedli na parkanie o parę metrów od rozbawionej nader niewybrednie grupy żołnierzy i dziewczyn. Złe to było miejsce. Piski i zalecanki budziły niesmak. Ale tu przynajmniej działał przymus zewnętrzny, tu nie było kłamliwej samotności jej pokoiku.

Poszli wreszcie z powrotem. Zmierzch się nasuwał obrzydliwie powolny. Daleko na prawo tryskały tu i ówdzie zielone rakiety: okolica pełna była wojska i wszędzie święcono Wielkanoc. Wiosenne ciepło, świeże i odurzające, potęgowało samogonowe podniecenie. Hamował się, starał się nie śpieszyć. To przecież tylko zmierzch, a zmierzchy teraz są długie.

Ten drugi koniec wsi, gdzie mieszkała Anna, powitał ich jakoś dziwnie. Kupki żołnierzy stały przed chałupami — nie śpiewając, rzucając parę słów, milknąc ponuro. W jednej z chałup usłyszeli płacz. A tam, skąd wracali, jeszcze pokrzykiwano, śpiewano, piszczały dziewczyny.

Co się stało? Stanęli przed chałupą, gdzie płakała na głos kobieta. W świetle ogarka widzieli jej przyciśnięte do piersi ręce, jej twarz o zapadłych oczach, długie łzy na policzkach. Nachyliła się nad czymś, co leżało na ławie, pod samym oknem.

Ludzie stali na ulicy, bez słowa patrząc na nią. Wreszcie jakiś żołnierz, jeszcze czerwony od wódki, ale ostudzony jej rozpaczą, burknął Jaźwińskiemu:

— Syna jej zabiło. Znaleźli granat. Jeszcze w południe. Wszyscy w drobne kawałki.

Jaźwiński spojrzał na Annę i napotkał jej strwożony wzrok. Poszli. Chwilę byli po prostu wstrząśnięci nieznanym nieszczęściem. Po kilku krokach Anna wzięła go za rękę, przycisnęła do serca. Zrozumiał, to nagłe memento ukazało im znikomość ich własnego szczęścia i tym większą jego wartość. Przyśpieszyli kroku. Chcieli uciec od świata pełnego łez i cierpienia, grożącego zgubą na każdym kroku, nawet tu, w tym, zdawało się, spokoju i święcie. Póki są razem, póki jeszcze można ukryć się, schować dla siebie tę trochę radości, którą i tak z nikim nie można się podzielić.

Ale przed domem Anna stanęła. Była przerażona jeszcze prawie przeczuciem. W oknach chałupy oświetlonych żółtawym kagańcem miotały się jakieś cienie, paru żołnierzy stało przed zagrodą milcząc ponuro.

— Piotruś! — niemal krzyknęła Anna. Pociągnęła go za sobą, przed drzwiami znowu stanęła, spojrzała mu w oczy szukając otuchy, bojąc się sprawdzać swoje obawy.

Było ich czterech, tych wyrostków, którzy w świątecznych ubrankach i nastrojach, gwiżdżąc i dokazując poszli przed paru godzinami na pole, do olszynki. Gospodyni teraz klęczała nad tym, co zostało z Piotrusia. Gospodarz stał milcząc w kącie. Na ławce, pod prześcieradłem leżały jakieś zwęglone strzępy ludzkie.

Stanęli na chwilę przed ławką. Była cisza tak pełna cierpienia, że długo tu stać nie mogli, wstydzili się i swojej obcości w tym domu i swego szczęścia. Różnica losów ich i tej pary była zbyt duża. Gdyby się narzucali ze swoim współczuciem, może tym jaskrawiej tamci uświadomiliby sobie to kłamstwo.

Może z kwadrans trwało milczenie. Zdawało się, że nawet na wsi, tam dalej, ta wiadomość zmroziła śpiewy i krzyki. Ale kiedy uciekli znowu na dziedziniec, usłyszeli na tamtym końcu harmonię i przytupywania taneczne.

Siedli na ławeczce przed domem. Wieczór już się wyklarował, tak upragniony przez Jaźwińskiego. Był chłodnawy i gwiezdny. Ziemia podmarzła, trzaskały cieniutkie szybki lodowe pod nogami przechodniów. Na zachodzie żółkła jeszcze krwista zorza.

Bezmyślnie słuchali, bezmyślnie patrzyli przed siebie. Spoza podochoconej, dalekiej harmonii, wynurzyły się dźwięki dalsze i głębsze. Na horyzoncie, na tle więdnącego zachodu wyskoczyły krwiste gwiazdki wybuchów. Szły niemieckie bombowce.

Ta wysoka, natrętna groźba, wróciła do życia resztę wsi. — Gasić światła! — wrzasnął jakiś jeszcze podpity tenor. Wartownik z automatem na szyi podskoczył do nich, zajrzał do okna i rozkazująco warknął: — Światło! Gospodarz ruszył spod pieca, czerwone kwadraty na ziemi znikły. Zrobiło się cicho, tylko beztroska harmonia, tam dalej, tylko wyjący huk motorów tam, głęboko w górze.

Czy to nie był tylko pretekst? Gdy gromada wyjących niewidzialnych wolno przesunęła się na wschód, wesele wróciło do wsi. Jeszcze jedna harmonia, jakby zbudzona przez tamtą, odezwała się tuż bliziutko, naprzeciw chałupy, w której łkała na głos matka tamtego, pierwszego. Dwóch żołnierzy przeszło, brnąc beztrosko środkiem ulicy. Byli w różowych humorach, filozofowali w obronie swego prawa radości: może jutro pójdziemy, wszyscy umierają, ileśmy stracili wtedy, jesienią, masz jeszcze wódkę?

Jakiś wysoki wąsaty chłop wynurzył się z wieczoru, chwilę popatrzył na Jaźwińskiego i Annę, wszedł do chałupy. Miał dudniący, basowy głos. Mruknął z naganą raz i drugi na gospodynię i po chwili ta rozełkała się na głos. Lamentowała: na kogoś ty nas porzucił, czemu nie ja, co bez ciebie, starzy, będziemy robili, Piotrusiu, Piotrusiu!

Jeszcze dwie lub trzy baby przyszły do niej, dołączyły jazgotliwe głosy w obrzędowym płaczu. Chwilami ich lament wzbierał na sile, głuszył harmonię. Potem cichły, zawodziły głośnym szeptem i wtedy muzyka wznosiła się, opanowywała wieczór.

I tak podzieliły się losy wsi. W czterech chałupach nieszczęście, w reszcie święto i radość. Pary przytulone do siebie wyskakiwały z izby, gdzie tańczono — szły, mrucząc błagania równie zdawkowe jak odmowy, kryły się w stodołach. Pojedynczy pijany głosik łzawo śpiewał: „Jasieńkowi nic nie trzeba...".

Potem daleko na wschodzie załopotały czerwone rozbłyski. Czekały z minutę, by stać się niskimi, targającymi szybę wybuchami. Prawie natychmiast wróciło wycie na niebie, i wieś znowu przycichła, ta roześmiana. Tylko baby lamentowały dalej. Ale po minucie wycie odeszło na zachód i radość wybuchła na nowo.

Siedzieli z Anną wstrząśnięci tą polaryzacją losów ludzkich na skrawku życia, który im przypadkowo przypadł w udziale. Byli na pograniczu — między tymi, którzy się nagwałt radowali, a tymi, zrozpaczonymi nagłym, nieodwracalnym nieszczęściem. Tamci cieszyli się zbyt prostacko, zbyt natrętnie

i byle jak. Ci — no, ale cóż, u diabła, ma on, Jaźwiński wspólnego z ich nieszczęściem? Czy w czymkolwiek wobec nich zawinił? Czy im może pomóc? Czy cośkolwiek na to można poradzić?

Jutro odjedzie, nie zobaczy ich nigdy, nie zna nawet ich nazwiska.

Myślał z wzbierającym gniewem o krzywdzie, która go także spotkała. Oto kilkanaście godzin — po tylu latach, przed tyloma groźbami — z jedyną mu bliską na świecie. I ten skrawek szczęścia wydzierają mu — obcy, nieznajomi, nic go w gruncie rzeczy nie obchodzący. Dlaczego? Jakim prawem?

To prosty przypadek, że Anna tu akurat znalazła kwaterę. Czy można odpowiadać za przypadek? Jutro może i jego doświadczy los nieubłagany.

Ale przecież — i tamci, i tamci nie odpowiadają za przypadek, o ileż straszliwszy, nieodwracalny, ostateczny. Jak można porównywać jego malutką, trywialną historię z tym ciosem?

Przypadki uderzają na oślep. Ale losy ludzkie są wspólne, bliskie sobie, ciasno się stykające. Bomba rozbija dom i w sąsiednich sypią się szyby.

Uspokajał się tymi ogólnikami powierzchownie i nietrwale. Nurtowały w nim podskórne gniewy i żale — do wszystkich, do szefa szkoły, że dał tak późno urlop, nawet do Anny, że trafiła do domu znaczonego stygmatem bliskiego nieszczęścia, do nich, do nich przede wszystkim, do tej rozpaczającej rodziny.

Anna milczała. Czuła pewnie to samo. Absurdalne poczucie winy widać ją także naszło. Raz i drugi wzięła go za rękę i przepraszająco ścisnęła.

Mróz ich wreszcie pokonał. Poszli do chaty. Na ich widok płacze się wzmogły. Stary jakby zaintonował litanię żalów. Łkał: „wnuku, Piotrusiu" — i kobiety wpadły, podchwyciły ton, rozełkały się na nowo całym chórem. Przeszli, skradając się jak winowajcy, pod ścianami, czym prędzej wsunęli się do pokoiku Anny.

Legli przytuleni do siebie, milczący. Za przepierzeniem płacz nawracał regularnie, co parę minut wznosił się niemal do krzyku, potem przygasał prawie w szeptach. Intonował go zawsze stary. Było słychać każde jego słowo. Pokrzykiwał na kobiety, gdy nie dość głośno podchwytywały jego melodie lub za długo siedziały w milczeniu. Słuchały go potulnie, widać pełne poczucia, że on wie lepiej, czego teraz trzeba. Był starczo gderliwy, gdy mówił do nich, i natychmiast stawał się przepełniony rozpaczą, gdy wołał po imieniu na wnuka.

Noc trwała podzielona nawrotami tych żałobnych trenów na nużąco jednostajne odcinki. Zwolna zasnęły harmonie — i bliższa i dalsza. Ucichły strzały, na ulicy przestano pokrzykiwać i dreptać po błocie. Jeszcze raz czy dwa przeleciały wysoko bombowce. Przez parę minut martwym blaskiem jak maleńki nieziemski księżyc jaśniała w oknie daleka „świeca" na spadochronie.

Jaźwiński leżał obezwładniony sąsiedztwem tej rozpaczy. Patrzył na wąski pas światła na suficie — tam, gdzie kończyło się przepierzenie. Anna położyła głowę na jego ramieniu. Czuł jej ciało przy sobie takie bliskie, takie znajome. Niemal dotykał wargami jej ucha — i tylko w momentach szczególnego natężenia płaczu za ścianą szeptał jej prawie bezdźwięcznie jakieś bezsensowne pocieszenia.

Jak powoli toczyła się noc, której tak pragnął przed kilku godzinami! Był nieznośnie przytomny, nie mógł nawet wyobrazić sobie możliwości uśnięcia. Z napiętymi nerwami czekał kolejnego wybuchu lamentów. Zrazu jeszcze marzył — może przecież skończą, może dadzą im już tylko zasnąć, tylko odpocząć. Ale stary był niezmordowany. Co parę minut wybuchał nowym refrenem płaczu. Jaźwiński niebawem znienawidził sam dźwięk jego głosu. Potem zaczął podziwiać — nieprawdopodobny, pierwotny egoizm tych ludzi. Co ich obchodzi ta para obcych, ich losy, ich zmarnowane spotkanie! Widzą tylko swoje — to prawda, że straszne — nieszczęście. I tak długo, tak manifestacyjnie dają wyraz swojej rozpaczy, że to staje się niemal uroczystością. Świętują — tak, świętują swój ból.

Potępiał sam siebie, że wyrywają mu się myśli nieprzyjazne, nie współczujące tamtym, także samolubne i maleńkie. Ale bronił się: on przecież uszanował ich boleść, złożył im w ofierze pełną radość tego spotkania. On tylko myśli nieżyczliwie i zresztą z tymi myślami walczy. On jest bardziej w porządku.

Wreszcie te zamyślenia zaczęły przechodzić w krótkie, męczące półdrzemki. Wystarczyło przywołać do świadomości jakiś jaśniejszy wątek — i bezwładność porażała ciało, a zamiast myśli napływały obrazy. Ale po chwili, zdumiewająco krótkiej, nadchodziło ocknięcie, nagłe jak ukłucie. Te półsny były zawsze szczęśliwe — i tym dotkliwsze przebudzenia.

Te półsny były jednakowe. Zaczynały się od myśli: a gdybym spotkał ją gdzie indziej, w innej wsi, innej chacie, innej izbie. Odtąd już nie myślał, już widział jej oczy, czuł jej ciało, przeżywał uniesienie bliskiego szczęścia — jakże niewymyślnego, malutkiego, płaskiego, ale jedynego, które życie mogło mu teraz ofiarować. Sceneria była prosta: ten sam pokoik, tylko bez żółtej pręgi światła na pułapie i bez tego żałobnego płaczu. Czuł ciało Anny przy sobie, sen się przeplatał z rzeczywistością, ale rzeczywistość zawsze zwyciężała i zawsze w ten sam sposób: nowym rapsodem starego, wpadającym w senne uniesienie jak krzyk o ratunek.

Aż wreszcie — czy zmęczenie przemogło, czy żałobnicy umilkli — sen nie urwał się nagle, potoczył się dalej, trwał w tych paru przedrannych godzinach długi jak skrót całego życia. Byli w nim we dwoje z Anną i była wiosna, słońce i spokój. Obudzili się późnym rankiem, oślepieni prawdziwym, natrętnym słońcem, i Anna opowiedziała mu szeptem że jej sny były takie same.

Ubrali się szybko, cicho otworzyli drzwi pokoiku. W żałobnej izbie było pusto. Bokiem, na palcach, przemknęli się do sieni. Czuli się ciągle winowajcami.

W sieni spotkali jedną z wczorajszych żałobnic. Popatrzyła na nich z domyślnym uśmiechem w oczach, jak się patrzy na młodych po nocy poślubnej, zapytała, czy łóżko było wygodne.

Jaźwińskiemu pot wystąpił na czoło. Zrozumiał, że jego wyrzeczenie się było bezsensowne. Nie uwierzyli, że uszanował ich ból. I w tym wojennym, łapczywym, uproszczonym świecie nie wymagali od niego tej ofiary. A on męczył się, przeklinał swój los, przeklinał mimowolnych, tragicznych jego sprawców. Uszanował ich ból w uczynku, nie uszanował w myśli. A myśl okazała się tym razem ważniejsza.

Był w tym jakiś szczególny egoizm, egoizm wyższego rzędu. Złamał swoje natrętne pragnienia — ze strachu: co sobie o nim pomyślą. Ale dzisiaj odjedzie i więcej ich nie zobaczy. I ten strach był tylko zamaskowaniem innego. Zrobił to dla siebie, dla swego świętego spokoju, po to, by później przed sobą i przed Anną nie wstydzić się wspomnień tej nocy. A na nich złożył odpowiedzialność, im w myślach złorzeczył.

Szedł przytłoczony poczuciem winy i natrętnym niesmakiem. Próbował się bronić: no, dobrze, ale cóż miał robić? Pójść, popłakać z nimi dla ludzkiego oka, a potem się zamknąć z Anną jakby nigdy nic? Czyżby konwenans dawał rozgrzeszenie, był pewniejszy w stosunkach między obcymi? Nic wiedział.

Było słońce, był ranek o pół kroku bliższy wielkiej wiośnie. Olszynka nabrała oliwkowych przebłysków: puszczały się pierwsze bazie. Przed chatami kręcili się żołnierze, myli się pod studniami, siedzieli w słońcu, wykrzywiali twarze do lusterek, skrobali różowe podbródki brzytwami. Ordynans z dowództwa doskoczył do Anny: w południe odmarsz.

Przed sąsiednią chałupą stał wysoki, stary chłop, z wąsami spadającymi aż na podbródek. Powiedział dzień dobry — i Jaźwiński od razu go poznał po głosie: to dziad Piotrusia, to ten, co kierował nocnym lamentem.

Stary zaciągnął ich gwałtem do domu. Chude święcone na stole czekało na gości. Znowu pili samogon, gospodarz, już podchmielony, zapraszał ich natrętnie i w pijackim uniesieniu opowiadał — o wojnie, tej pierwszej, o swoich młodzieńczych przygodach, o śmierci, o wąskiej ścieżynce życia, którą udeptał. Wódka nastroiła go samochwalczo. Chlubił się wszystkim — i zmarłą żoną, i synem, i gospodarstwem, i dawną siłą, i obecną umiejętnością spraw ludzkich.

Trzecia szklanka ułatwiła Jaźwińskiemu przejście do bliskich i bolesnych tematów. Zapytał:

— To wasz jedyny wnuk, Piotruś?

Stary milczał. Wydymał wąsy, patrzył na Jaźwińskiego, jakby nie chciał słyszeć pytania.

Jaźwiński poczuł niezręczność i ciągnął dalej, aby ją zatuszować:

— Bardzoście go kochali, całą noc...

— A pewnie. Całą noc. Ale to tylko że ja, ja przyszedłem. Te baby nie mają pojęcia. Siedziałyby całą noc jak trusie. Tylko ja wiem, jak trzeba. Tu, we wsi, już nikt nie potrafi jak ja opłakiwać. Młode już zapomnieli. Ale za moich czasów to i dwie noce i trzy się płakało. I słusznie, co byście sobie o nas pomyśleli. Obcy ludzie w domu, a tu takie nieszczęście — i nic? I to grzeczne goście, też zaszli, postali chwilkę, uszanowali naszą boleść. I dlatego ja te baby całą noc... Spać im się chciało, tym sąsiadkom, ale nie puściłem. A ja nic. Dawniej ludzie byli mocniejsi.

Potem wstał, podszedł do ściany, długo wycierał oczy. Wrócił i zaczął przepraszać — on wie, że ich los jest inny, on chciałby uczcić ich radość. Ale to przecież Piotruś, Piotruś umarł, jego jedyny wnuczek. Niech się nie gniewają, że płacze. I nową szklankę nalał — za ich szczęśliwe spotkanie.

Bern, grudzień 1945

Jerzy Putrament

K. W. ZAWODZIŃSKI

Nieśmiertelna książka

Nieśmiertelna książka. Nie w jakimś bardzo podniosłym sensie, tylko po prostu: nie umiera, nie ma zamiaru umrzeć. Teraz zdawałoby się: ile dzieci przeszło niebezpieczeństwa o wiele straszniejsze niż Robinson, przygody jeszcze bardziej urozmaicone, nędzę i twardą szkołę samopomocy i zaradności, otarło się o kanibalów piekących i użytkujących masowo ciała ludzkie, o wiele gorszych niż ci, z którymi zetknął się najbliżej na długość dzidy samotny wyspiarz; widziało walki bardziej krwawe, niż toczone muszkietem z uzbrojonymi w łuki Karaibami — a jednak te dzieci będą czytać książkę z zapałem nie ustępującym temu, który przez dwa wieki towarzyszył tej lekturze w szczęśliwym, bezpiecznym od burz życia pokoju dziecinnym.

Tak przynajmniej ocenia koniunkturę polska giełda wydawnicza. Na emigracji (o której produkcji książkowej, bardzo pokaźnej, wiemy niewiele jak dotąd) zjawił się Robinson w jerozolimskiej serii, stanowiącej odpowiednik przedwojennej „Biblioteki Narodowej"[1]). Nie miałem tego w ręku: sądząc ze znanego mi wyboru pism Krasickiego ze wstępem i w opracowaniu Wiktora Weintrauba — seria jest na wysokim poziomie, co pozwala dobrze rokować o przekładzie i oprawie naukowej, choć nie wiem kto jest jej autorem; szczupłość tomiku wzbudza podejrzenie co do integralności tekstu Defoego; a może drukowany petitem, bardzo nabity? Sprawa ważna i bardzo skomplikowana, jak w dalszym ciągu zobaczymy. Charakter serii skłania raczej do przypuszczenia, że nazwisko Defoego na okładce nie jest pustym dźwiękiem, tym bardziej, że odsetek młodocianych czytelników nie jest chyba tak wielki wśród naszej emigracji wojennej, a więc celem wydawców mogło być raczej włączenie Robinsona do wyboru znakomitych utworów literatury powszechnej, niż dostarczenie młodzieży książki do czytania.

Ten ostatni cel przyświecał niewątpliwie księgarni Stefana Kamińskiego, gdy wydawała Robinsona, jako jedną z pierwszych książek pojawiających się w kraju po sześcioletniej przerwie wojennej, a w każdym razie pierwszą książkę tych rozmiarów i tak ozdobnie, „przedwojennie" wydaną. (Z ilustracjami angielskimi sprzed pół wieku najdalej, inaczej plastycznie ujmującymi zewnętrzność bohatera i jego przygód, niż tradycyjne stare sztychy, do których przywykliśmy od dziecka). Jej tekst, którego autorką jest A. Bigay-Mianowska „według Daniela Defoe", nastręcza okazję do omówienia wcale niezwykłych losów nieśmiertelnej książki i metafor jej zawartości tak zasadniczych, że nazwisko jej pierwszego twórcy może nie bez racji znikać niekiedy z karty tytułowej.

Na upartego można by nawet twierdzić, że nie De Foe (jak dziś częściej piszą to nazwisko angliści) jest twórcą Robinsona (jako tej książki, którą wszyscy znamy od dzieciństwa) i jego nieśmiertelności. Muszę się zastrzec od razu, że nie napomykam tu o kwestii Selkirka. Autentyczne przygody szkockiego majtka, opublikowane w 1718 r., więc na rok przed ukazaniem się powieści Defoego wchodzą niewątpliwie do genezy zaledwie jednego, choć najważniejszego epizodu tej powieści; ale w tym tylko stopniu, w jakim opis wypadku z kroniki kryminalnej posłużył za temat Stendhalowi, Dostojewskiemu lub Zoli, nawet nie w takim, w jakim autentyczny pamiętnik staje się niekiedy materiałem powieści historycznej (por. np. stosunek pamiętników pułk. Kierzkowskiego do na krótko przed wojną szeroko omawianej powieści T. Kudlińskiego **Rumieńce wolności).** Nie tylko nie można zarzucić Defoemu plagiatu, ale trzeba jak najenergiczniej zerwać ze zwyczajem (praktykowanym w różnych opisach podróży i doniesieniach dziennikarskich o rzadkich zawsze odwiedzinach tego mało uczęszczanego skrawka ziemi) nazywania „Wyspą Robinsona" wyspy Juan Fernandez naprzeciwko wybrzeża Chili. Zatracona pośród oceanu, zawsze zasadniczo bezludna, z jej ubogą florą i fauną, klimatem umiarkowanym (trzydziesty któryś równoleżnik południowej półkuli w tamtych strefach odpowiada pod względem klimatycznym o wiele wyższej szerokości w basenie północnego Atlantyku, tyle, że bez zim śnieżystych i mroźnych), wyspa Selkirka nie ma nic wspólnego z wyspą Robinsona, umieszczoną wyraźnie przez Defoego w pobliżu olbrzymiej delty Orinoco, na morzu Karaibskim, w południowej części archipelagu Małych Antyli, zaludnionych jeszcze wówczas przez tubylców, licznych zwłaszcza na pobliskim lądzie stałym. Gdzieś to niedaleko większej wyspy Trinidad; międzyzwrotnikowy klimat i rajską przyrodę, wśród której żył Robinson, przedstawia Defoe rzeczowo i plastycznie, bo choć jej sam nie oglądał, czytał o niej i słyszał na pewno dosyć od tych awanturników morskich, dla których przedmiotem rywalizacji za dni jego młodości były owe krótko zwane „Wyspy"; za nimi szły, protegując swych poddanych, ówczesne potencje morskie. Obrazem tego procesu kolonizacyjnego są zwłaszcza dalsze części Robinsona. Ale i tam, co jest dla nas zasadnicze, w przedstawieniu samotnego pobytu rozbitka na wyspie — choć Defoe bierze niektóre szczegóły z Selkirka — różnice są jeszcze większe: Aleksander Selkirk nie jest rozbitkiem, lecz wysadzonym za karę z okrętu krnąbrnym majtkiem, zaopatrzonym zresztą w przedmioty pierwszej potrzeby, a więc bez konieczności organizowania elementarnych warunków życia, która stanowi zasadniczą oś robinsonady, zwłaszcza gdy jej autorem jest nie angielski powieściopisarz z początku XVIII w., lecz... wychowawca młodzieży, utopista-socjolog Jan Jakub Rousseau.

Ten to bowiem jest rzeczywistym sprawcą nieśmiertelności Robinsona. Nie tylko w tym sensie, że potęgą swych wpływów, zwłaszcza w zakresie idei wychowawczych, narzucił go całemu światu jako lekturę dla dzieci. Jeśli chodzi o umiejętność nadania rozgłosu, to i Defoe nie dawał się łatwo wyprzedzić. Protoplasta wielkiej powieści angielskiej XVIII w., był on również jednym z prekursorów dzisiejszej pomysłowej reklamy krajów anglosaskich, stosując chyba pierwszy dziś już zbanalizowane chwyty np., gdy napisawszy w 1724 r. życiorys sławnego zbrodniarza, wymusił jego podpisanie w oczach tłumu przez samego skazańca w dniu egzekucji. Można też przypuszczać własny udział Defoego w narodzinach szeroko rozpowszechnionej legendy otaczającej jego osobistość aureolą wzniosłego męczennika przekonań, bohatera wolności słowa, płacącego za to więzieniem i karą pręgierza. W takiej aureoli poznałem go dziecko z kart jakiegoś starszego o wiele ode mnie rocznika „Przyjaciela Dzieci". Teraz już wiem, jaki to był ptaszek: kupiec po ojcu, potem bankrut, potem w zamęcie Drugiej Rewolucji Angielskiej intrygant polityczny, pamflecista, poplecznik rządu wysadzony na chwilę z siodła wskutek śmierci króla Wilhelma Orańskiego, skazaniec i więzień polityczny, wreszcie tajny agent zanim znów nie weźmie się do pióra, uprawiając to, co byśmy nazwali dziś publicystyką i dziennikarstwem, i w ogóle poligrafią (m. in. przewodnik po Wielkiej Brytanii). Owoce doświadczenia i obserwacji zebrane w ciągu urozmaiconej i burzliwej kariery życiowej, dopiero na jej schyłku zostaną spożytkowane w tym, co stanowi nieśmiertelną część jego obszernego dzieła, w jego powieściach, w których jest prekursorem kilku zasadniczych rodzajów romansopisarstwa realistycznego.

Zdumiewające jest skupienie całej tej bogatej twórczości powieściopisarskiej na krótkim odcinku działalności sześćdziesięcioletniego już człowieka (ur. 1660, um. 1731). W ciągu pięciolecia 1719—1724 powstają, od Robinsona zaczynając[2]), inne powieści awanturnicze **(Captain Singleton,** życiorys flibustiera), historyczne lub raczej „tradycyjne" **(Memoirs of a Cavalier,** z wojny „kawalerów" z „okrągłogłowymi", lub **Journal of the Plague Year,** obraz moru w 1665 r.), albo „obyczajowe" **(Moll Flanders,** autobiografia łotrzycy i prostytutki; **Colonel Jack** — kariera giełdziarza, później Jakobity; **Lady Roxana** — historia kurtyzany wyższego lotu).

Wszystko prawie w formie autobiografii; i mieliby rację ci, którzy posługiwanie się tym kształtem przypisują długiej praktyce autora w zawodzie szpiega kręcącego się w środowisku awanturników, łotrów i kurtyzan, z konieczności przebierania się, udawania ludzi różnych stanów i zawodów, przybierania maski odmiennej od własnego oblicza — gdyby nie to, że podobne techniką pisarską mistyfikacje literackie, imaginacyjne autobiografie i fałszowane pamiętniki rozpoczynają mniej więcej współcześnie w sąsiedniej Francji nurt ważny w genezie realistycznej powieści tego kraju.

W szeregu powieści Defoego krytyka znajduje utwory cenniejsze pod względem artystycznym i ważniejsze dla rozwoju powieści angielskiej od Robinsona. Niewątpliwie pozostałby on na honorowym miejscu wśród powieści z przygodami; sukces jego i poza granicami ojczyzny był wielki — przekład francuski zjawił się już w rok po oryginale — ale sprawcą jego nieśmiertelności i dalszych jego metamorfoz był „obywatel genewski" kilku roztargnionymi słowami w **Emilu.**

Tam mianowicie, gdy mowa o lekturze młodzieńca, jego wychowawca, skąpy jak wiadomo na tym punkcie, wynosi przed Arystotelesa, Pliniusza, Buffona (charakterystyczna przewaga przyrodników!) — Robinsona. Ale jakiego? Doradzając oczyścić go ze zbędnego balastu, zacząć od rozbicia okrętu a kończyć na przybyciu statku, który go uwolni z wyspy — „przyjaciel ludzkości" przedstawia bohatera pozbawionego nie tylko pomocy bliźnich, ale także narzędzi wszelkiego rodzaju, a jednak dochodzącego do pewnego dobrobytu: szkoła samopomocy i zastanawiania się nad własnymi błędami. Prócz tego jest to wskrzeszenie złotego wieku, gdy człowiek posiadał tylko

---

[1]) „Szkolna Biblioteczka na Wschodzie" pod redakcją dr Ł. Kurdybachy. Nr 31: Daniel Defoe, **Robinson Kruzoe** (str. 103).

[2]) **The Life and Strange Surprising Adventures of Robinson Crusoe, of York, Mariners:** po wielkim powodzeniu pierwszej części w następnym roku zjawia się część druga powieści.

to, co niezbędne do życia oraz swobodę. Jan Jakub zapominając najwidoczniej z dawnej lektury, że bohater Defoego był zaopatrzony od razu we wszystko, co było na rozbitym okręcie, zaprojektował nową wersję Robinsona, który — w rzędzie powieści awanturniczych cieszących się powodzeniem lecz uważanych za banalne — stawał się w niej książką pouczającą, narzędziem pedagogii [3]).

Realizacją tego imaginacyjnego Jana-Jakubowego Robinsona zajął się jeden z jego niemieckich wyznawców, pedagog J. H. Campe, który swoim dwunastu wychowańcom, edukowanym na wzór Emila, opowiadał kolejno epizody z przygód i prac rozbitka. Geneza utworu wyznaczyła formę **Nowego Robinsona dla zabawy i pouczenia dzieci** „opowiadanego przez ojca" w 31 wieczorach; doprowadziło to do uwyraźnienia włożonego weń „wyższego sensu". Jest on potrójny, jeśli chodzi o sprawy dla nas istotne, o idee występujące kolejno w książce: pierwsza, najbardziej wyraźna w dziejach prac rozbitka ogołoconego ze wszystkiego (nawet z noża, ważny szczegół przyjmowany lub odrzucany przez następne wersje!) to synteza, skrót perspektywiczny dziejów cywilizacji pierwotnej wielu tysiącleci — do kilkunastu lat życia; druga to błogosławieństwo rozwiniętej cywilizacji materialnej, zlewające się na Robinsona z przypędzonym do brzegów jego wyspy bezpańskim okrętem; trzecia, najmniej wyraźnie zaznaczona w ostatniej części, w umowie z ocalonym od ludożerców Hiszpanem, udającym się po towarzyszy mających zaludnić wyspę, to idea „umowy społecznej", dobrowolnego kontraktu mającego leżeć u podstaw organizacji życia zbiorowego. Wszystkie inne tendencje pouczające, często o wiele wyraźniejsze, wyłożone bezpośrednio, „łopatologicznie", wydają się nam dziś balastem książki, co najwyżej jej stylowym **smaczkiem.** Więc i rozszerzona tu, w porównaniu z Defoem, nauka przyrody, „historia naturalna" egzotycznej Ameryki równikowej (przy czym kozy zostały zastąpione przez lamy, mało chyba właściwe Antylom, czy wybrzeżom Karaibów) i tym bardziej nawracanie na religię „wikarego sabaudzkiego", bardzo śmiesznego ludożercy, nie bez użycia zresztą racjonalnego argumentu — wyższości smaku pieczeni zwierzęcej i sztuki mięsa z lamy ponad pieczeń ludzką, jedynie(!) dotychczas mu znaną — a w ogóle bardzo nudne moralizowanie i nader ckliwy sentymentalizm, z jego kultem pamiątek. Tak, Piętaszek nie ginie, jak u Defoego, tylko osiada wraz z czule kochanym przyjacielem i opiekunem w jego ojczyźnie (Hamburgu!), gdzie dorobiwszy się „zbudowali sztuczną grotę na wyspie itd.. słowem — stworzyli zagrodę zwaną Wyspą Robinsona, w której spędzali stale jeden dzień w tygodniu" (czy popijając piwo, nie powiedziano). Te jednak strony książki Campego zadecydowały może o jej powodzeniu: od r. 1779 przetłumaczona została na 27 języków, od francuskiego począwszy, a Zgromadzenie Prawodawcze udzieliło autorowi najwyższego zaszczytu, jakim rozporządzała rewolucyjna Francja w stosunku do cudzoziemca — tytułu obywatela francuskiego.

Jeśli, jako ocena artystyczna, uwieńczenie Campego wydaje się dziś przesadą, usprawiedliwione jest ono znaczeniem jego przeróbki w dziejach „nieśmiertelnej" książki. W stosunku do Defoego, którego intencją mógłby być purytański morał poprawy przez pracę i rozmyślania religijne z Biblią w ręku (mniej już świadomą intencją, choć w planie historycznym bardzo ważną — wychowanie typu człowieka, który zastąpił w Anglii na czas dłuższy dawnego mieszkańca **Old Merry England**, a za morzami, w najtrudniejszych warunkach pracy kolonizatorskiej potrafił stworzyć zaczątki państw częściowo zespolonych w USA, z ich tolerancją wyznaniową i wszechstronną odpowiedzialnością obywatela za bieg życia społecznego) — dydaktyzm **Robinsona** został rozszerzony i zuniwersalizowany. Powstała nowa wersja utworu, która właśnie dlatego, że artystycznie niezadowalająca, pobudzała działalność kompilatorów, nawracających w swych przeróbkach w mniejszej lub większej mierze do dawnego oryginału.

Odtąd biegną obok siebie jakby dwie linie genealogiczne przeróbek, rodowodem bliższe to Defoego to Campego. Pomimo różnorodnych kombinacyj i zbliżeń między tymi liniami, można rozróżnić zasadniczego protoplastę: **differentia specifica** każdej takiej serii — to takie czy inne zaopatrzenie rozbitka wyrzuconego na wyspę: miał Robinson nóż w kieszeni, czy nie miał, jak tego chcą ortodoksyjni „Campeiści"? A zwłaszcza — czy skorzystał z zasobów okrętu, na którym go spotkała katastrofa, jak opowiadają zwolennicy Defoego, skłonni przy tym szerzej nakreślić poprzedzające przygody bohatera, a zwłaszcza dzieje jego wyspy po nawiązaniu kontaktu z Europejczykami. Skala zmniejszenia obszernego prawzoru i dostosowanie jego do poziomu młodych lub starszych czytelników, wraz z odpowiednią oprawą księgarską, materiałem ilustracyjnym etc., to są sprawy drugorzędne w porównaniu z zasadniczym podziałem różnych wersji na dwie serie.

Mimochodem wspomnieć należy o trzeciej równoległej linii tegoż wątku: o robinsonadach gromadnych. Datują się one z tych samych czasów ożywionego przez **Emila** zainteresowania **Robinsonem**: w 1768 i 1783 r. wychodzą francuskie powieści o rodzinach robinsonów. Bo istotnie, czy nie przyjemniej przeżywać te przygody w tkliwym zespoleniu uczuć rodzinnych? Ale dopiero pastor z Berna, J. D. Wyss, napisał moralizujące dzieło dla młodzieży, które, wydane po jego śmierci w 1812 r. w redakcji syna J. R. Wyssa, zdobyło wszechświatową sławę jako **Robinson szwajcarski.** Nie bez pośrednictwa francuskiego; spopularyzowała go po francusku M-me de Montolieu, przerabiając, rozszerzając w przekładzie i kontynuując w stylu panującego wówczas sentymentalizmu podobno znacznie lepiej, niż później napisany dalszy ciąg oryginału przez tegoż Jana Rudolfa. Nie jest moim zamiarem wchodzić w zawiłe dzieje tej książki, której echem u nas był czytany za dni mego dzieciństwa **Robinson tatrzański.** Tytuł powstał przez analogię i przez zabawne nieporozumienie: **Robinson szwajcarski** to wszak nie przygody w Szwajcarii, tylko losy rodziny szwajcarskiej w zamorskich krajach. Ale najznakomitszym wcieleniem literackim tematu robinsonady gromadnej jest **Tajemnicza wyspa** J. Verne'a, gdzie tradycyjne, zaczerpnięte z Defoego jeszcze motywy (np. wyhodowanie zboża ze znalezionych w kieszeni ziaren) zostały uzupełnione wykładem zastosowania najświeższych na ów czas (temu trzy ćwierci wieku) zdobyczy techniki; niektóre osiągnięcia rozbitków, np. elektryfikacja wyspy lub dobrze działający telegraf, gotowe są w nas jeszcze wzbudzić niemało zazdrości.

Nie jest moim celem, niemożliwe zresztą w moich dzisiejszych warunkach, wyczerpujące przedstawienie przeobrażeń tekstu **Robinsona**, choćby w samej Polsce tylko; nie wiem nawet, w jakim stosunku do Defoego był pierwszy jego przekład z 1769 r., powtórzony jeszcze parokrotnie w ciągu tegoż wieku. Był on w każdym razie niezależny od Campego, choć, być może, jest na równi z niemiecką przeróbką echem oddziaływania **Emila.**

W chwili gdy to piszę, jestem ograniczony do dwóch tłumaczeń, na szczęście reprezentujących — każde inną — obie serie przeróbek nieśmiertelnej książki. Pierwsze, według J. H. Campego, jak zaznacza się na karcie tytułowej, opracował A. Orłowski. Kiedy? Nic o tym nie wiem — książka jest niestara, z 1921 r. (wyd. Treptego, Warszawa), ale mocno trąci myszką, zarówno w sposobie moralizowania, jak i bardziej jeszcze w języku, stanowiącym okaz tej ozdobnej literackiej polszczyzny, która stanowiła elegancję generacji o pół wieku wcześniejszej, z jej mistrzem Świętochowskim na czele. Biedna moja siostrzeniczka, pierwsza właścicielka książki, która owinąwszy w papier okładkę, położyła na nim napis „Robinzon Kruzołe"! Biedne moje dzieci, które przebijały się niedawno przez gąszcz jej peryfraz i innych figur retorycznych, naprostowując dla zrozumienia sensu niezwykły w potocznej polszczyźnie szyk słów w zdaniach! Bądź co bądź, jednak nie można odmówić temu językowi pewnego charakteru staroświeckości, zgadzającego się z ujętym w jego kształty przedmiotem: tak właśnie można przekładać utwór XVIII w., pisać o bohaterach epoki Oświecenia.

Inaczej z językiem najnowszego **Robinsona.** Autorka jest pozbawiona całkowicie poczucia „stylowości" przedmiotu, który traktuje; używa bądź niedbałego codziennego dzisiejszego języka, a zwłaszcza prozy dziennikarskiej („denerwowało", „reagowała na me słowa", „**idealny** worek", „ćwiczyłem umiejętność" zamiast „ćwiczyłem się w umiejętności", „tragiczna sytuacja bezbronnego...", „rozwiążę problem nici", „wartościowy chłopak", „silne ogrodzenie" zamiast „mocne", a co gorzej, „speszony" — okropne słowo wypierające piękne, obrazowe „stropiony", a nawet „ujrzałem... około **trzydzieści sześć** funtów szterlingów") bądź — i to bardzo obficie, a ciągle w rażącej symbiozie z żargonem współczesności — z niepotrzebnymi barbaryzmami („struktura moich rękawów", „przedefilowałem z kościoła przez pryncypalną ulicę") — poetyckiego języka z epoki Młodej Polski: „gędźba owadów"... „okiście winnych gron" „zagajnik... błyskał ni to złotem szczerym, złocistymi kulami cytryn...", „w ręku dzierżyłem kij...", „mieniłem" zamiast „nazywałem"; ognisko staje się „zniczem". Stoi to w związku z ogólną poetyzacją książki, przepełnieniem jej lirycznymi opisami przyrody i ekstatycznych, gwałtownych stanów psychicznych. „Roje muszek... wybrzękiwały jakąś swoją, na niesłychanie wysoki ton nastrojoną melodię. Wtórował jej świergot, gwizdanie i zachłystujące się wydzwanianie hymnów na cześć miłości, słońca i piękna, przez pracowity ptaszęcy świat..." i tak prawie cała ta stronica; opis pierwszego pieczenia mięsa, również całostronicowy, pełny jest takich zwrotów: „jakaś dzika żądza pieczonego mięsa opanowała mnie tak, że prawie traciłem przytomność", „pochłaniała mnie żądza zatopienia zębów..."; przy innej sposobności: „mózg mój zalała nowa fala przerażenia". W powodzi tej wątpliwej poezji i banalnego psychologizmu, całkowicie sprzecznych ze stylem powieściopisarstwa XVIII w., z rzeczową ścisłością jasnej narracji jemu właściwej, tonie i rozmazuje się drobiazgowy opis prac Robinsona, najistotniejszy dla książki i najciekawszy dla dzieci, które będą pomijać lub z nudą sylabizować wskazane, lub im podobne ustępy w dużej ilości rozsiane na stronicach książki, zupełnie obcej charakterowi oryginału; równie wątpliwy z punktu widzenia „stylu", choć innego rodzaju jest pomysł autorki wprowadzenia psalmu „Kto się w opiekę" w wersji Kochanowskiego. Mniejsza o system metryczny, którego używa — na sto lat przed jego wynalezieniem — przedstawiciel kraju, do dziś dnia go nie znającego, tak mało w dodatku pomysłowy, że przez 15 lat, nad brzegiem oceanu, nie ma soli do potraw; mniejsza nawet o papugę, która nie bezmyślnie, jak u Defoego, powtarza posłyszane słowa, lecz wyraźnie, ze zrozumieniem sensu zdań odzywa się do swego pana; ale co najgorsza, praktycznego i twardego Anglika XVIII w. zastąpił histeryczny egotyk pisujący imaginacyjne listy do „kochanej matuś" (jakby rozporządzając nadmiarem czasu wolnego od pracy), szlochający i śmiejący się do rozpuku na przemian, przeglądający się w wodzie morskiej (sic!) przy coraz to nowej zmianie stroju, zachwycający się otaczającą przyrodą jak romantyczny turysta, a nie jak człowiek żyjący w jej ciężkiej niewoli, choć wiadomo, że nie rolnicy przecież stworzyli estetyczne poczucie przyrody. Słowem wyrzekłby się go jego „tatek" Defoe, i nikt z kompilatorów Robinsona nie kładł swego nazwiska na okładce z większym prawem niż autorka jego ostatniej, polskiej wersji.

Ogólny plan tej wersji Robinsona zasługuje jednak na pochwałę. Zachowując z „linii Campego" brak narzędzi na początku pobytu rozbitka na wyspie (który jednak nóż posiada i ogień potrafił rozniecić) — przy czym okres ten trwa dość krótko, zaledwie półtora roku — bardziej od innych znanych mi przeróbek zbliża się do książki Defoego, zwłaszcza dość obszernym streszczeniem drugiej jej części, przygód Robinsona po opuszczeniu wyspy, w czasie podróży po Indiach, Chinach, Syberii.

Przygody te nie wiążące się w całość zamkniętej fabuły powieściowej, a nic wspólnego nie mające z samą „robinsonadą", nie figurują w przeróbce Anczyca i nie wynagradzają czytelnika za tyle braków nowego Robinsona w porównaniu z książką doskonałego pisarza (wyrastającego, niech mi wolno przy sposobności powiedzieć, w perspektywie lat), tak popularną w mojej i paru jeszcze wcześniejszych generacjach (I wyd. z 1868 r., potem osiem dalszych). Niestety, „książki dla dzieci" ulegają bezmyślnym fluktuacjom mody, wracają do niej jeszcze mniej niż stare gałganki; nie są wznawiane nawet najbardziej wypróbowane, jak **Złota różdżka,** którą ja, tyle potem poznawszy wierszy, dotąd umiem na pamięć, i nie potrafię wspomnieć z którymkolwiek swoim rówieśnikiem jej petersburskiego stereotypowego wydania M. Wolffa, z kolorowymi biedermajerowskimi sztychami, bez rozradowania wewnętrznego świetnym humorem całości...

Wracając do Robinsona, czuję szczególną wdzięczność do książki Anczyca za tę surową zimę, gdy, zacząwszy ósmy rok życia, zaczytałem się w niej, jako w drugim — po **Bajarzu** Glińskiego umiłowanym i samodzielnie „po cichu" czytanym dziele. Z głębokich śniegów zapadłej wsi białoruskiej, unieruchomione w dodatku na dłuższy czas złamaniem ręki, dziecko przenosiło się marzeniem w świat egzotyki i przygody, w ogrzane słońcem równikowym kraje. Ile z tych marzeń pozostało? Jakie ich zarodki rozwinęły się do znaczenia kształtujących człowieka czynników psychicznych? Które znalazły praktyczny wyraz w życiu, a które pozostały, jak namiętność do żeglarstwa, prywatnym dziwactwem „dorosłego dziecka" — trzeba by pisać autobiografię lub tomy lirycznych wyznań! Dobry był wpływ czy zły? Niech ocenią pedagodzy i społecznych nauk doktorzy: ja zawsze żałować będę, że nie dano mi sposobności odczytać na nowo **Robinsona** Anczyca.

K. W. Zawodziński

[3]) Sukces **Robinsona** we Francji zwalczany przez duchowieństwo katolickie, mimo złagodzenia w przekładzie tendencji antypapistowskiej, był tamże uważany za przesadny przez sfery literacko wykształcenśze, wskazujące, że i rodzime piśmiennictwo posiada dużo równie ciekawych powieści z przygodami.

TADEUSZ HOŁUJ

PRÓBA OGNIA

POWIEŚĆ

STR. 280 ZŁ. 140.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

25 roczników „Języka Polskiego"

W rozgardiaszu powojennych miesięcy, w codziennym mozolnym wykuwaniu nowej rzeczywistości polskiej, niepostrzeżenie przeszło święto srebrnych godów współżycia „Języka Polskiego" z miłośnikami ojczystej mowy. Dwadzieścia pięć roczników czasopisma popularno-naukowego jest wkładem nie byle jakim w nasze życie kulturalne. Toteż po prostu nie godzi się, by z chwilą zamknięcia rocznika dwudziestego piątego nie przypomnieć „Języka Polskiego", dokonań i zasług Redakcji.

Zaczął wychodzić „Język Polski" jako miesięcznik w Krakowie w r. 1913. Pierwszym jego wydawcą i redaktorem, ale nie inicjatorem, był zasłużony szermierz poprawności językowej Roman Zawiliński, przy czym w pracy redakcyjnej współdziałali z nim profesorowie: Jan Łoś, Kazimierz Nitsch, Jan Rozwadowski i Mikołaj Rudnicki. Inicjatywa wydawania pisma poświęconego zagadnieniom języka polskiego w sposób naukowo-popularny oświetlanym wyszła od prof. Nitscha. Różnego rodzaju trudności wydawnicze przez pierwszą wojnę światową wywołane sprawiły, że w r. 1916 po ukończeniu rocznika III „Język Polski" przestał chwilowo wychodzić. Po dwuletniej przerwie podjęła jego wydawanie Komisja języka polskiego Polskiej Akademii Umiejętności. Od r. 1919, tym razem w dwumiesięcznik zamieniony, wychodzi na nowo, kierowany przez komitet redakcyjny składający się z profesorów: J. Łosia, K. Nitscha i J. Rozwadowskiego. Powstanie w r. 1920 Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, które za naczelne zadanie postawiło sobie „krzewić rozumną miłość języka polskiego, opartą na znajomości jego zasad, rozwoju i znaczenia, oraz na zrozumieniu zjawisk językowych w ogóle" (Statut § 1), skłoniło Akademię do przekazania mu „Języka Polskiego" na jego organ z dniem 1 stycznia 1921. Podpisuje „Język Polski" nadal trzech wielkich naszych językoznawców wyżej wymienionych, przechodzi jednak jego redakcja coraz bardziej w ręce prof. Nitscha, który zwłaszcza po śmierci prof. Łosia (1928) i prof. Rozwadowskiego (1935) staje się jedynym redaktorem czasopisma. Druga wojna światowa wstrzymała wydawanie „Języka Polskiego" na przeszło 5 lat, ale gdy tylko Kraków został oswobodzony, przystąpił prof. Nitsch do pracy nad wskrzeszeniem — z takim oddaniem przez siebie redagowanego dwumiesięcznika. Już w kwietniu 1945 pojawił się nowy jego zeszyt, kończący rocznik przedwojenny, następnie w dwumiesięcznych odstępach 4 zeszyty rocznika XXV. Zaznaczyć warto, że „Język Polski" jest jednym z pierwszych czasopism naukowo-popularnych, które, gdy tylko warunki zewnętrzne pozwoliły, przystąpiły do pełnienia wyznaczonej im misji społecznej, brutalnością wroga przerwanej.

25 roczników „Języka Polskiego", to 25 lat wytężającej pracy nad szerzeniem kultury językowej w Polsce. Dziesiątki artykułów tej sprawie poświęconych, liczne z czytelnikami pogawędki na tematy przez nich wysunięte do tego zmierzają celu. Pragnąc jak najżywszy utrzymać kontakt ze społeczeństwem, szczególny nacisk kładzie „Język Polski" na te zagadnienia językowe, które je żywiej w tej czy innej chwili obchodzą. Stąd tyle miejsca przeznaczył w swoim czasie na omówienie bolączek ortograficznych, stąd częste w nim teraz wypowiedzi nazw miejscowych dotyczące. Utrzymywanie związków z doraźnymi potrzebami życia znajduje wyraz także w artykułach problemy nauczania języka polskiego roztrząsających. Sporo uwagi zwraca nadto na język — narzędzie literatury, drukując szereg artykułów na temat języka wybitniejszych naszych pisarzy, języka literackiego i języka literatury, użycia gwary ludowej w dziele literackim itp. Przypomnijmy w końcu recenzje nie tylko prac o języku polskim, lecz również utworów literackich od strony językowej ocenianych.

Szeroka skala zagadnień w „Języku Polskim" przedstawianych sprawia, że jest on pismem żywym i zajmującym. Artykuły podane są w sposób prosty i przystępny, wszakże głównie dla niefachowców są przeznaczone. Tym niemniej stoją na poziomie zgodnym z osiągnięciami ostatnich badań naukowych. Nieraz w łatwej formie właśnie tutaj po raz pierwszy ich wyniki się ogłasza. Podnosi to wydatnie wartość czasopisma.

Większość artykułów w „Języku Polskim" drukowanych wyszła spod pióra zasłużonych i wytrawnych w dziedzinie naszego języka badaczy. W pierwszym ich rzędzie postawić trzeba uczonych znakomitych, J. Łosia, K. Nitscha i J. Rozwadowskiego, z ich kręgu A. Kleczkowskiego i S. Wędkiewicza, dalej uczniów krakowskiej szkoły językoznawczej: H. Gaertnera, Z. Klemensiewicza, E. Klicha, T. Lehra-Spławińskiego, M. Małeckiego, T. Milewskiego, H. Oesterreichera, S. Rosponda, M. Rudnickiego, Z. Stiebera, S. Urbańczyka, J. Zborowskiego oraz przedstawicieli pozakrakowskich środowisk naukowych: J. Baudouina de Courtenay, T. Benniego, W. Doroszewskiego, A. Gawrońskiego, J. Janowa, A. Kryńskiego, A. Passendorfera, S. Szobera, H. Ułaszyna i in. Co szczególnie charakterystyczne, wymowne i pocieszające, niemałą gromadę współpracowników „Języka Polskiego" stanowią nie zawodowi językoznawcy, lecz także historycy czy historycy literatury, a nawet przyrodnicy i technicy; dość wspomnieć R. Grodeckiego, J. Birkenmajera, J. Kallenbacha, J. Krzyżanowskiego, S. Pigonia, T. Sinkę, T. Estreichera, K. Stadtmüllera; wreszcie amatorzy językiem polskim się interesujący. Na ich czele wymienić wypadnie S. Żeromskiego, gorliwego „Języka Polskiego" czytelnika, w dzisiejszych czasach M. Dąbrowską, której udział w ostatnim roczniku z prawdziwą przyjemnością notujemy.

Stoi „Język Polski" wiedzą, trudem i zapałem prof. Nitscha, artykułami współpracowników służących ofiarnie uprawie mowy ojczystej. W ciągu 25 lat istnienia przyczynił się walnie do podniesienia rozumnej jej znajomości w ciągle jeszcze szczupłych szeregach swoich czytelników. A zasługuje w pełni na poparcie całego naszego oświeconego społeczeństwa, przede wszystkim pisarzy, dla których słowo jest twórczym materiałem. Przykład Żeromskiego powinien być zachęceniem.

Witold Taszycki

JÓZEF SIERADZKI

Nauki historyczne w ZSRR

WYWÓD

Tradycje wielkiej nowożytnej historiografii rosyjskiej prowadzą do XIX wieku, w którym na tle bogatego i różnorodnego piśmiennictwa historycznego rysują się przede wszystkim dwaj historycy europejskiej miary: S. Sołowiew i M. Kluczewskij. Sołowiew, autor monumentalnej 29-tomowej „Historii Rosji od czasów najdawniejszych", wycisnął piętno swego talentu i poglądów na wielu historykach rosyjskich i sięgnął wpływem daleko poza Rosję. Jego uczeń Kluczewskij wyszedł poza krąg, który istotę historycznych procesów sprowadzał do roli państwa i jego rozwoju. Pod tchnieniem czasu, gdy wzrastały siły gospodarcze, dojrzewały zagadnienia społeczne, zwłaszcza zaś kwestia chłopska — tematyka Kluczewskiego przesuwa się w stronę historii gospodarczej i warstw społecznych. Obaj oni reprezentują dziejopisarstwo burżuazyjne, które poprzez ekonomizm Kluczewskiego wiedzie — chronologicznie — do szkoły historycznego materializmu.

Wpływy Marxa w Rosji przejawiły się wcześnie, znajdując grunt w przygotowaniu samorodnym co najmniej kilku poważniejszych myślicieli rosyjskich, zwłaszcza Czernyszewskiego. W trzeciej ćwierci XIX wieku A. Szczapow widział w „czarnej robotniczej masie główną grosadę, niemal wszystko" w przemianach historycznych, wyraźne są też tendencje demokratyczne u N. Kostomarowa. Nie było wcale przypadkiem, że szkoła materializmu historycznego znalazła tu najwybitniejszych zwolenników w osobie G. Plechanowa i dwu kontynuatorów klasycznego marksizmu Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina.

Nieomal wszystkie ważniejsze kierunki historiozofii zachodniej znajdowały oddźwięk w rosyjskiej nauce, a więc i Guizot u N. Pawłowa-Sylwańskiego, którego niezaprzeczalną zasługą była teza o feudalizmie w Rosji i pozytywizm Comte'a u N. Rożkowa i idealizm mieszczański reprezentowany w całej jaskrawości przez P. Miliukowa i tzw. legalny marksizm, w gruncie rzeczy odgałęzienie idealizmu „rosyjskiej fabryki" (M. Tugan—Baranowskij i P. Struwe). Przejawiły się też nastroje pesymistyczne i znaleźli się wyznawcy katastrofizmu. Niedarmo Marian Zdziechowski w swych pełnych temperamentu pismach historyczno-publicystycznych szukał filiacji dla Oswalda Spenglera w Rosji. Jednym z ostatnich, późniejszym i spóźnionym echem tych schyłkowych, ogarniętych rozpaczą i zwątpieniem pesymistów był emigrant Bierdiajew („Nowe średniowiecze").

Ale sceptycyzm, mimo karmy jaką mógł znaleźć w nihilizmie, u Nieczajewa i Bakunina — zajął stosunkowo mało miejsca w rosyjskim dziejopisarstwie. Kryzys nauki, który na zachodzie trwa jeszcze do dziś, został tu przezwyciężony dzięki wcześnie wszczepionej i już z samym końcem stulecia umocnionej szkole dialektyczno-historycznej: w roku 1899 wyszła klasyczna praca Lenina „Rozwój kapitalizmu w Rosji". Na podstawie bogatego materiału, głównie statystycznego, wykazano w niej rozkład warstwy chłopskiej, zmianę systemu pańszczyźnianego gospodarki obszarniczej na kapitalistyczny, stopniowy rozwój kapitalizmu w przemyśle i proces tworzenia się wewnętrznego rynku dla wielkiej wytwórczości przemysłowej. Wszelkim konstrukcjom o rzekomo swoistym, osobliwym rozwoju Rosji położony był naukowo kres. Nowa szkoła historyczna otrzymywała mocne fundamenty, impuls i wyraźny kierunek. Określiły go zresztą późniejsze prace Lenina „Kto to są „przyjaciele ludu" i jak walczą przeciw socjaldemokracji", „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu" i traktat z dziedziny filozofii, doniosły ze stanowiska historiozoficznego „Materializm a empiriokrytycyzm".

SPLĄTANY KROK

Rewolucja październikowa stworzyła warunki dla rozwoju nauk historycznych w tym duchu. Pozycja historii w hierarchii nauk, uwaga poświęcona tej dziedzinie przez państwo i środki finansowe w skali nieznanej w żadnym z dotychczasowych środowisk — wróżyły pomyślność, zwłaszcza że przetrwał zrąb organizacyjny nauki a nawet w pewnej mierze personalny, w każdym zaś razie spadek dorobku poprzedniego czasu. Same muzy po największej części nie uległy tym razem przerażeniu i nie zamilkły na odgłos wystrzałów „Aurory" i ich ech rozlicznych poza Piotersburgiem, w kraju całym. Niektóre rozkwitły młodością. Stary, znakomity Pawłow, od pierwszej niemal chwili otoczony opieką, kontynuował swe badania, odbiegając je tylko dla modlitwy w cerkwi. Poezja błyszczała Majakowskim i Jesieninem.

Ale nad historiografią zawisły chmury. Jedna z nich — dogmatyzm, druga zbłądzenie. Zaczniemy od drugiej, której na imię „pokrowszczyzna".

W bardzo aktywnej działalności M. Pokrowskij stworzył formację, która nosi miano „ortodoksyjnego marksizmu" Jego główny błąd polegał na wypaczeniu istoty materializmu historycznego, dialektyki, która u Pokrowskiego przybrała spłyconą postać mechanicznej przeciwstawni. Upatrując w historii „politykę odwróconą w przeszłość", szkoła Pokrowskiego popadała niechcący w drobnomieszczański subiektywizm i z twardego gruntu realizmu, obwarowanego ścisłą konstrukcją Marxa, schodziła na grząski teren idealistycznych spekulacji. Jedną z nich, ważniejszą w ogólnym obrazie, był schemat handlowego kapitalizmu, który jakoby stanowi klucz do wyjaśnienia wielu procesów w państwie moskiewskim i w jego rozwoju. W konsekwencji i klucz okazuje się fałszywy i otwierane nim skrytki prawd historycznych — nieprawdą.

Dla przykładu można podać, że Pokrowskij widział w Tatarach siłę postępową, która sprzyjała przejściu Rusi z formacji miejskiej w wiejską i w znacznym stopniu przyczyniła się do ukształtowania księstwa moskiewskiego. W tym ujęciu wychodziłoby ono na dzieło chanatu tatarskiego. Pokrowskij nie przyznawał też Moskwie roli czynnika postępu w dziejach państwa rosyjskiego i nie doceniał znaczenia czynnika narodowego w rozwoju państwa i walce o byt narodowy.

Jeżeli kierunek Pokrowskiego przedstawia się jako dewiacja, zejście z drogi, które opóźniło rozkwit nauki historycznej, wywołując potrzebę przezwyciężenia błędu — walniejsza przeszkoda wynikła z dogmatyzmu. Rzecz szczególna, że był on zgoła zbędny i nie po myśli teorii skrępował na pewien czas swobodny rozwój nauki. W jakim stopniu wbrew teoretycznym założeniom i niewłaściwie, wynika z wypowiedzi Józefa Stalina, która stanowi wkład o charakterze zasadniczym do poznawczych zasobów marksizmu:

„Byłoby rzeczą śmieszną żądać, aby klasycy marksizmu opracowali dla nas gotowe rozwiązanie wszystkich bez wyjątku zagadnień teoretycznych, które wyłonić się mogą w każdym poszczególnym kraju po upływie 50—100 lat, po to, abyśmy my, potomkowie klasyków marksizmu, mieli możność spokojnie wylegiwać się na piecu i przeżuwać gotowe rozwiązania. Możemy jednakże i powinniśmy żądać od marksistów — leninowców naszej doby, żeby się nie ograniczali do wyuczenia się na pamięć pewnych ogólnych twierdzeń marksizmu, żeby wnikali w istotną treść marksizmu, żeby nauczyli się brać pod uwagę doświadczenie dwudziestoletniego istnienia państwa socjalistycznego w naszym kraju, żeby nauczyli się wreszcie, opierając się na tym doświadczeniu i biorąc za punkt wyjścia istotną treść marksizmu, konkretyzować pewne ogólne twierdzenia marksizmu, precyzować je i udoskonalać" (z przemówienia na XVIII zjeździe partii bolszewickiej).

Wyraźnie: **konkretyzować ogólne twierdzenia, precyzować je i udoskonalać.**

W WIELKIM SKRÓCIE

Dzieje nie są dowolną grą zdarzeń, lecz „przyrodniczo-historycznym" procesem. Rozpatrywać jego wszystkie zjawiska w ich historycznym związku uczy dialektyczny materializm. Historia społeczeństwa tak pojęta przestaje być nagromadzeniem „przypadków" a staje się prawidłowym rozwojem społeczeństwa, zbadanie zaś historii społeczeństwa staje się nauką (Stalin). Celem takiej nauki jest zobrazować historyczny proces w jego wszelakiej konkretności, we wszelkiej swoistości form, które przybiera w rozlicznych społeczeństwach ludzkich.

Gdzież tu miejsce na skostniały dogmatyzm? Metoda poznawcza musi być wypróbowana, jak delikatne i subtelne narzędzie. Klucze myślowe, niezawodna sonda, pozwalająca wnikać w złożone zjawiska i docierać do samego ich gruntu. Obok tej metody w sensie teoretyczno-poznawczym i wraz z nią wchodzi w rachubę metoda w rozumieniu takim, jaki nadaje jej każdy wyszkolony historyk: zespołu środków służących w badaniu naukowym, z którymi jak uczeń w warsztacie rzemieślniczym zapoznaje się adept historii w seminarium, uczy się używać ich i stosować w pierwszych pracach, udoskonala je z biegiem lat w badaniach.

Nic błędniejszego niż sprowadzanie rzeczy do jednej czy kilku ogólnych formuł stosowanych stereotypowo z pretensją uniwersalnej ważności, tej samej w każdym czasie i przestrzeni. Nic błędniejszego niż uniformistyczna jednostajność, która nie chce widzieć zróżnicowania i bogactwa i zamiast docierać do ich naukowej formuły, woli zaprzeczać, że istnieją, negować ich obiektywny byt. „Każdy ustrój społeczny i każdy społeczny ruch w dziejach należy oceniać nie z punktu widzenia „wiecznej sprawiedliwości" albo jakiejś innej, wprzód założonej idei..., lecz z punktu widzenia tych warunków, które zrodziły ten ustrój i ten ruch społeczny i z którym one są związane" (Stalin, „Zagadnienia leninizmu").

Ale w nieprzebranym bogactwie życia ludzkich społeczeństw, barwności i swoistości form, istnieje jakaś prawidłowość, która jest wszakże w naturze, również bogatej i jeszcze barwniejszej. Dialektyczny materializm stawia przed nauką historyczną zadanie odkrycia obiektywnych prawideł historycznego procesu i dopomaga do rozwiązania tego zdania. Prowadzi ono do prawdy o siłach wytwórczych i ich ośrodkowej roli w procesie historycznym, do nauki o stosunkach wytwarzania i narzędziach wytwarzania jako centralnej i najistotniejszej treści. Prowadzi do nauki o społeczno-gospodarczych formacjach, wobec których konwencjonalna periodyzacja historii jest blada i pozbawiona sensu. Prowadzi do nauki o walce klas i społecznej rewolucji.

Schematyzm i abstrakcyjność?

Nie! Jednolitość i prawidłowość procesu historycznego, ale i jego wielostronność i przeciwstawność (Lenin).

ZEBRANY PLON

Zwycięstwo nad idealizmem historycznym i przyswojenie metody materializmu dialektycznego wysunął obecny prezes Akademii Nauk ZSRR, sekretarz wydziału historii i filozofii, W. Wołgin, jako największe i najważniejsze osiągnięcie radzieckiej nauki historycznej, w uroczystym przemówieniu jubileuszowym z okazji 220-lecia Akademii.

Duma, którą się wyczuwa w tym zebraniu owoców pracy długich lat jest w znacznej mierze uzasadniona. Znamionami współczesnego stanu nauk historycznych w ZSRR są: krystalizacja teorii, pogłębienie metodologiczne, rozległość tematyki i obfitość produkcji. Badania rozsiane są na olbrzymiej przestrzeni dziejów świata i narodów Związku, niemniej jednak można wyróżnić kwestie węzłowe, szczególnie dyskutowane. Do nich należy zagadnienie genezy państwa ruskiego.

W tej dziedzinie obalono tradycyjną tezę o powstaniu państwa ruskiego drogą podboju przez Normanów, ugruntowaną ongiś przez Karamzina, nie bez wyraźnych wpływów i sugestii nauki niemieckiej, która i u nas zaważyła na znanych poglądach Szajnochy i Piekosińskiego. W 1862 roku święcił carat 1000-lecie przyzwania Ruryka, pomnikiem w Nowogrodzie. Dziś pomnik jest prawdopodobnie rozbity, jak wszystkie prawie pamiątki Nowogrodu, przez niemieckich Wandalów, a teoria podboju leży w gruzach.

PRZED RURYKIEM DZIKOŚĆ?

Wysoka kultura państwa kijowskiego, miejsce, jakie zajmuje, dowodzi, że było ono wynikiem wielowiekowej historii ludów ruskich, odbytej w okresie do IX wieku. Już przedtem istniały we wschodniej Słowiańszczyźnie twory państwowe, które wtedy zlały się w ogromne państwo kijowskie, jeden z większych organizmów feudalnych, podobnie jak imperium Karola Wielkiego, Tigranesa lub Dżingis-chana. Ta synteza prof. B. Grekowa streszcza i uogólnia wyniki naukowych badań historycznych, archeologicznych, etnograficznych i językoznawczych. Prymitywizm form w okresie przed Rurykiem jest mitem obalonym przez archeologię. Wykopaliska ujawniają, że w odległej tej epoce były na Rusi, nie jak przyjmowano dotąd, tylko wojenne schroniska, lecz grody. W Starej Ładodze odkryto osadę-gród z VII—VIII wieku. Na górnym Powołżu żyły w VI wieku ludy społecznie zróżnicowane, z nierównością majątkową, śladami wspólnoty sąsiedzkiej i indywidualnym gospodarstwem rolnym (P. Tretiakow). Odkrycie kultury trypolskiej pozwala cofnąć w 3—2 tysiąclecie dosiągalne historycznie początki osiadłego, rolniczego ludu na Podniestrzu i Podnieprzu, tzn. jeszcze w okres scytyjski. Rolnicze plemiona scytyjskie tego obszaru ukazują się jako część składowa słowiańskiej etnogenezy.

Wiąże się z tym pasjonujący problem Antów, ulubiony temat radzieckiej archeologii. Byli oni ludem uzbrojonym i zorganizowanym, kierowanym przez wodzów, jeszcze ze śladami ustroju demokratycznego, już po przeżyciu się organizacji rodowej. Ośrodek tej kultury leżał na Naddnieprzu i na obszarze późniejszych Polan wschodnich i można uważać za rzecz dowiedzioną, że spadek po niej przeszedł na Ruś kijowską.

Tak więc Słowianie wschodni byli autochtonicznym elementem, a z bezkształtnej, amorficznej masy plemion paneuropejskich w okresie scytyjskim, poprzez kulturę urn grzebalnych w epoce rzymskiej i rozsiedlenie Słowian, powstała nad środkowym Dnieprem kolebka kultury rosyjskiej. Istnieją wystarczające podstawy naukowe, etniczne i kulturoznawcze dla stwierdzenia jednolitości wschodniej Słowiańszczyzny od Oki do Karpat, która skrzepła w okresie państwa kijowskiego. (W. Mawrodin, P. Tretiakow). Słowianie ci wykonują w VII—VIII wieku ruchy na wschód i południe, w VIII—IX w czasie wielkiego przesiedlenia ludów sięgają do Desny i Donu, z początkiem IX do basenu górnego Dońca, pociągani czarnoziemem, rozwijający gospodarstwo rolne. Gdy w wieku VI Antonowie i Sklawini stanowili awangardę, teraz przesuwa się masa ludów okrzepłych w sensie ekonomicznym i socjalno-politycznym — aż po osady Chazarów, z których chanatem utrzymywane były ścisłe stosunki. Opinia znakomitego Marra, że Chazarzy byli w stanie szczególnego związku z Rusią a „ich historia jest częścią dawnej historii Rusi", zyskuje bardzo poważną wartość.

Rewizja poglądów, której wyniki są podobne do przeprowadzonej u nas przez Smolkę i Bobrzyńskiego, doprowadziła do niewątpliwego wniosku, że państwowy organizm ruski nad Dnieprem był nie początkiem wschodniej Słowiańszczyzny, lecz rezultatem długotrwałego historycznego procesu. Nadto zaś wyłaniają się z tych badań, prawie obcych partykularnej historii zachodnio-europejskiej, dzieje narodów wschodniej Europy, środkowej Azji i Kaukazu, które prowadzą do starych państw i cywilizacji. Te starożytne dzieje nie są przyczepką do europejskiego średniowiecza, lecz ogromnym rozdziałem światowej historii i podstawą późniejszego rozwoju narodów, które wyrosły na obszarach Rusi, Czarnomorza, Kaukazu, Powołża, środkowej Azji i Syberii (Tołstow).

PRZYKŁADY „SZABLONU"

Kwitowana marką szablonu i rzekomej ucieczki od tzw. idiomatycznych, tj. jednostkowych, ściśle określonych faktów na rzecz monotonnych uogólnień, historiografia radziecka mogłaby posłużyć za wzór niejednemu z naszych podręczników, które odstręczają nudą i płyciną. Oto dla przykładu fragment z obrazu reformacji w Niemczech.

Jest naprzód rozwój ekonomiczny końca XV i początku XVI wieku, nierównomierność gospodarczego rozwoju Niemiec i polityczne rozdrobnienie, kolejno warstwy społeczne: książęta, patrycjuszowskie rody miejskie, duchowieństwo, rycerstwo, mieszczaństwo, plebejusze, chłopi. Są na tym tle, w zaraniu reformacji powstania chłopskie i ich związek z opozycją plebejską. Jest stanowisko cesarstwa i niepowodzenia prób reformy cesarskiej. Teraz czas na kościół katolicki w Niemczech i papiestwo, opozycję przeciw katolicyzmowi, humanistyczny prąd w Niemczech Erazma z Rotterdamu. Jest „Laudatio stultitiae" („Pochwała głupoty"), Jan Reuchlin i „Epistulae obscurorum virorum" („Listy ciemnych mężów"), Ulryk von Hutten. Są naturalnie anabaptyści i Tomasz Muenzer („podburzajcie wsie i miasta i zwłaszcza górników i innych dobrych towarzyszy"), obóz chłopsko-plebejski i naiwny komunizm („als Adam reute und Eva spann, wo war denn damals der Edelsmann?") i 12 artykułów i program Heilbronn, jest prawdziwy Luter, wykładnik sytości, ciskający pioruny na biedne masy chłopstwa oglądający się na patrycjat i przede wszystkim — na książąt Rzeszy.

Jest — prawda. Nie przesączana ostrożnie przez sito obsesji antyradykalnej albo łzawego solidaryzmu, dawkowana najuważniej jak w naszych kompendiach z liberała Lindnera albo kulturhistoryka Pflugk-Harttunga. Jest więcej żywej krwi i kości niż w ulubionych u nas, porosłych mchem tradycji podręcznikach typu Lewickiego, gdzie trzeba z świecą szukać chłopa, można znaleźć ostatnią nobilitację i żałosne szczątki reformacji a za to bardzo wiele o unii brzeskiej.

Szkoda, że w ramach artykułu nie można mnożyć przykładów monotonii, wystrzelającej z retorty „nudnego" materializmu historycznego.

PIERWSZE SYNTEZY

Około roku 1940 wydane zostały drukiem pierwsze syntetyczne ujęcia o charakterze podręczników uniwersyteckich, z bibliografią, charakterystyką źródeł i stanu literatury naukowej w każdym przedmiocie. Wyszła więc dwutomowa „Historia wieków średnich" (pod redakcją profesorów A. Udalcowa, E. Kosminskiego i O. Wajnsztejna), w której drugim tomie współpracowało dziewięciu uczonych. Wyszła „Historia nowożytna" (2 tomy), zredagowana m. in. przez E. Tarlego (tom I od wielkiej francuskiej rewolucji do komuny paryskiej, tom II do roku 1918). Wydano „Historię ZSRR", również dwutomową (redagowali W. Lebiediew, B. Grekow, S. Bachruszin i M. Nieczkina) — praca z górą 25 historyków. „Przy układaniu podręcznika — pisze się we wstępnie — korzystano z materiałów wielotomowej historii ZSRR, przygotowywanej do druku przez instytut historyczny Akademii" (1940). Jest „Nowożytna historia kolonialnych i zależnych krajów", 2 tomy, napisana przez 13 profesorów i docentów (Indochiny, Indonezja, Filipiny, Chiny, Iran, Osmanowie, Indie, Afganistan, Korea, Mongolia, Ameryka łacińska, tropiczna i płd. Afryka itd.) i „Historia dyplomacji" pod redakcją W. Patiomkina (w 1939 roku bawił w Polsce, prowadził bezowocne rozmowy w sprawie niebezpieczeństwa grożącego ze strony Niemiec). W pierwszym tomie 8 profesorów nowożytników pisze o Napoleonie, kongresie wiedeńskim, rewolucji lipcowej i lutowej we Francji, wojnie krymskiej i kongresie paryskim, Bismarcku, wojnie prusko-francuskiej i pokoju frankfurckim. Wyszły już dalsze tomy.

NIECO O ORGANIZACJI

Poza katedrami uniwersyteckimi przede wszystkim wchodzi w grę wydział historii

i filozofii Akademii Nauk, która do swoich członków liczyła polihistora Łomonosowa i Franciszka Arouet-Voltaire'a. Przy Akademii rząd instytutów, w pierwszym szeregu instytut historii. Dział słowianoznawstwa tego instytutu, pozostający pod kierownictwem prof. W. Piczety, przygotował ostatnio do druku zbiór prac poświęconych zagadnieniom genezy państw słowiańskich. Wśród nich są: B. Grekowa „Powstanie państw zachodniosłowiańskich", N. Dierżawina „Powstanie państwa bułgarskiego", J. Gotie — serbskiego, W. Piczety — polskiego, G. Gustinczicza „Walka narodu chorwackiego o państwowość". Autorzy dowodzą, że organizacja państw słowiańskich była wynikiem ich wewnętrznego rozwoju, a walka, którą wszystkie słowiańskie narody musiały prowadzić z zewnętrznymi wrogami, przyśpieszała proces tworzenia się organizmów państwowych i sprzyjała ich politycznej konsolidacji.

Nadto slawiści radzieccy przygotowali historyczne zarysy poszczególnych narodów i państw: Serbii — S. Bogojawleskij, Chorwacji — D. Gustinczicz, Czarnogóry — B. Gorianow, Czech — Z. Nejedly. Dzieje Polski opracował W. Piczeta (dwa tomy). Polski ruch niepodległościowy okresu pomiędzy powstaniem listopadowym a styczniowym wzbudza szczególne zainteresowanie i jest przedmiotem prac profesorów G. Pisariewskiego i N. Dranicyna.

Do najczynniejszych należy instytut kultury materialnej im. N. Marra, światowej sławy językoznawcy, twórcy nowego kierunku badań językowych, opartych na metodzie materialistycznej lingwistyki. Z inicjatywy instytutu dokonano wielu badań archeologicznych, których wyniki są dumą współczesnej archeologii rosyjskiej. Najpoważniejsze dotyczą wieku kamiennego, zwłaszcza neolitu, który dopiero radziecka nauka odkryła właściwie na obszarze Rosji, dochodząc do wyróżnienia kultur i ich chronologizacji. Pięknie rozwinęły się badania epoki wczesnego metalu (kultura trypolska, o której była mowa wyżej) i brązu. Jego ostatnim etapem jest kultura Kimmerów utrzymująca się aż do czasu Scytów i Sarmatów. Materiały wykopalisk w północnej Syberii i północno-wschodniej Azji rzucają światło na wpływy i stosunki między ludnością tego obszaru i Ameryki północnej poprzez cieśninę Beringa. Wyniki poszukiwań archeologicznych w południowej Syberii prowadzą do określenia udziału ludów stepu syberyjskiego w ustaleniu jednolitości kulturowej Iranu, środkowej Azji i Chin epoki Tan. Nadto jest instytut etnografii z oddziałem antropologii i komisja folkloru i instytut filozofii.

Wchodzą też w rachubę nauki skupione w wydziale ekonomiki i prawa Akademii (przewodniczący wydziału prof. E. Warga) z instytutami prawa i ekonomiki — oraz wydział literatury i języka. Z instytutów tego wydziału integralną wartość dla nauk historycznych mają instytuty językoznawczy i orientalistyki z grupą historyków. Arabistyka, iranistyka, indianistyka mają swych specjalistów, filologów i historyków.

ŚLADEM NAUKOWYCH TRADYCYJ

Bizantynistyka rosyjska ma swoją dawną sławę ugruntowaną w wieku XIX. Obecnie obserwować można renesans tej nauki, której poświęcona jest baczna uwaga. Poza ruchliwością przejawianą przez grupę czynnych bizantynologów (M. Lewczenko, B. Gorianow, E. Kosminskij, N. Lebiediew), kończy się publikację fundamentalnej „Historii cesarstwa bizantyńskiego" F. Uspienskiego, której część zmarły pozostawił w rękopisie; wznowione będą też dzieła W. Wasilewskiego. Stanowisko bizantynistyki radzieckiej określone jest tezą, że Bizancjum winno zajmować centralne miejsce w historii wieków średnich, jako Wschód dla łacińskiego zachodu i Zachód dla bliskiego i dalszego wschodu. Organicznymi środkami, mającymi na celu ożywienie nauki w tej gałęzi, jest wprowadzenie ogólnego kursu historii Bizancjum w uniwersytetach, utworzenie seminariów, studia greckich i łacińskich pisarzy, paleografii oraz zamierzone wprowadzenie greki i łaciny do niektórych szkół średnich.

Trwałą pozycją rosyjską w światowej nauce są badania dziejów gospodarczych Anglii, zwłaszcza zaś zagadnień z jej historii agrarnej: wspólnoty gminnej, podziału własności ziemskiej, rozwoju feudalizmu, grodów, rzemiosła i przemysłu, handlu, form politycznych. Nazwiska M. Kowalewskiego, A. Sawina, przede wszystkim zaś P. Winogradowa należą równie do historiografii rosyjskiej jak angielskiej. Nauka radziecka czyni wysiłki utrzymania i kontynuacji tej działalności, rozszerzając tematykę na sprawy późniejsze, np. na wiek rewolucji angielskiej, której w związku z bliskim 300-leciem poświęcona będzie zbiorowa księga.

PO WOJNIE — Z PLANEM

Ruch naukowy doznał wskutek wojny zakłóceń, nie uległ jednak przerwie. Z problematyki w zakresie historii nowożytnej na czoło wysuwa się rewolucja październikowa, o której napisano nie dającą się łatwo objąć ilość opracowań, studiów i przyczynków. Same publikacje o Leninie zajmują obszerne pole, nadto najstaranniejsze wydanie wszystkich pism Lenina aż po najdrobniejsze notatki, korespondencję i glossy marginalne. Jednym z węzłowych punktów są czasy Piotra I, innym okres Iwana Groźnego. Badaniom towarzyszy staranna publikacja źródeł, korespondencji oraz „Pism i aktów cesarza Piotra Wielkiego".

Prof. E. Tarle, autor znanej u nas pracy o Napoleonie, pisał również o Talleyrandzie oraz monografię o wojnie krymskiej. Z innych zagadnień nowożytnej historii opracowywano dzieje komuny paryskiej. Obecnie uwaga zmierza w stronę prehistorii faszyzmu: próby przewrotu Boulangera, sprawy Dreyfusa i wstecznych dążeń Francji na przełomie drugiego i trzeciego dziesięciolecia bieżącego wieku, w których upatrywać należy zarodki rozkładu Francji przejawionego tak tragicznie w dniach grozy.

Wielkie jest zrozumienie dla historii gospodarczej. Bardzo wielkie dla historii wojen, wojska i sztuki wojskowej. „Trzeba osiągnąć taki stan, aby historia wojen była dla historyków bliską dziedziną naukowego poznania". Mają to być przede wszystkim badania o Piotrze Wielkim, twórcy regularnej armii i floty rosyjskiej, prace o Rumiancewie, Suworowie, Kutuzowie, Dragomirowie, Brusiłowie. Rzecz oczywista — na jednym z najbardziej poczesnych miejsc jest wojna z Niemcami: zbieranie dokumentów, dzienników, opowiadań żołnierzy i partyzantów itp.

Dokonywując przeglądu i zestawiając wyniki nauka radziecka wskazuje też swoje braki, co odgrywa poważną rolę w układaniu planu prac na najbliższe lata. Perspektywiczny plan roztrząsany jest w łonie Akademii. Jego zasadą jest hierarchia potrzeb odczuwanych w tej chwili.

W zakresie historii Związku wiele zagadnień jest ledwo napoczętych lub jeszcze niewyjaśnionych. Toż samo dotyczy mnóstwa spraw z historii powszechnej. Historiografia radziecka odczuwa potrzebę pogłębionej, badawczej pracy, monografij, wzmożonego krytycyzmu w stosunku do źródeł, zerwania z uprawianym dawniej typem prac popularnych i niedostatecznie ugruntowanymi wywodami. Pragnie wyzyskać możliwości czerpania materiałów z archiwów zagranicznych, nawiązać łączność z nauką w innych krajach i wciągnąć w krąg swoich zainteresowań badawczych jeszcze szerzej dzieje innych państw. Szczególnie istotna zdaje się być inicjatywa skoordynowania działalności naukowej instytutów słowianoznawstwa w środkowej i południowej Europie. Dbałość o zacieśnienie związku z kołami naukowymi za granicą wyraża się w gotowości zamieszczania prac nieradzieckich historyków, stojących na pozycjach dialektycznego materializmu w zreorganizowanym organie instytutu historii Akademii „Waprosy istorii".

Skonsolidowane po naturalnych falowaniach, oparte na klasykach marksizmu, nie podlegające serwitutom minionego czasu i zmąceniom poznawczym, których niewysychającym źródłem jest na zachodzie spirytualizm różnej postaci i fideizm, realistyczne nauki historyczne w ZSRR biorą cały spadek po przeszłości, przetwarzają w rewizji wszystko co w niej cenne.

„Marksizm zdobył sobie wszechświatowe historyczne znaczenie jako ideologia rewolucyjnego proletariatu tym, że bynamniej nie odrzucił najcenniejszych zdobyczy epoki burżuazyjnej, lecz przeciwnie, przyswoił i przetworzył wszystko, co było cenne w zgórą dwutysiącletnim rozwoju ludzkiej myśli i kultury" — pisał Lenin.

A opublikowana niedawno zapiska jego dodaje:

„Nie **wymysł** nowej kultury proletariackiej, lecz **rozwój** lepszych wzorów, tradycji, osiągnięć **istniejącej** kultury z **punktu widzenia** światopoglądu marksizmu oraz warunków życia i walki proletariatu w epoce jego dyktatury".

Ta myśl ma znaczenie nie tylko dla dziejopisarstwa, lecz dla wszelkich dziedzin kulturalnej twórczości.

Józef Sieradzki

ARTUR SANDAUER

Wspomnienia o starym reakcjoniście

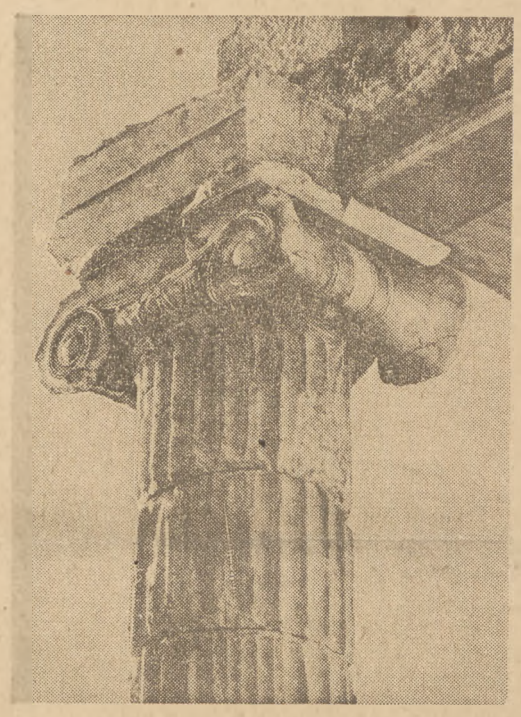

Podziwiają niektórzy wszechstronny geniusz starożytnych. Nie trudno jednak o wszechstronność tam, gdzie spędza się dzień na filozofowaniu w łaźni lub w golarni. To z kultury antycznej, co zdołało ocaleć przed powodzią wieków jest wytworem wytwornych próżniaków. Znamy myśli i uczucia tych, którzy kąpali się w termach, lecz nie tych, którzy je budowali. Walka między klasami toczyła się o prawo do lenistwa raczej niż do pracy. Wyższe sfery urzędnicze, których stanowiska były bezpłatne, żyły z łapówek i zdzierstw; niższe — z ich resztek. Nic częstszego, niż procesy przeciw dostojnikom o nadużycia; nic milej widzianego niż uczty lub igrzyska wyprawiane ludowi za zdobyte w ten sposób pieniądze.

Jedną z przyczyn przewrotu demokratycznego w Atenach V wieku była walka o bezpłatne utrzymanie, którego obywatele domagali się od państwa. To 20-tysięczne miasto składało się (prócz nie wchodzących w rachubę cudzoziemców i niewolników) z miejskiej ciżby rzemieślników, kupców i bezrobotnych oraz z właścicieli dóbr, zwanych rycerzami. Interesy dwu tych grup były odmienne: pierwsi eksportowali swe wyroby do kolonii morskich, drudzy żyli z gospodarstwa domowego. Toteż, gdy tamci dążyli do wzmocnienia marynarki i do rozszerzenia imperium, ci zachowawczo usposobieni wierzyli raczej w siłę bojową doświadczonej w bojach maratońskich piechoty, pragnąc zresztą przede wszystkim pokoju. Lud walczył o wyrównanie różnic stanowych i o absolutną demokrację; rycerze o rządy niewielu, zwane oligarchią. Mieszczanin ateński był rozmiłowany w wiecach, gdzie prawo głosowania miał każdy, i w sądach, których członkiem był co trzeci obywatel. Udział w obydwu był płatny: otrzymane zań trzy obole Ateńczyk wkładał do ust (ówczesnego portfelu), by je po powrocie z posiedzenia oddać w pocałunku jakiejś bliskiej znajomej. Nic tedy dziwnego, że był on zazdrosny o całość tak dochodowej demokracji, skłonny do podejrzeń o zakusy na nią, uległy mówcom rynkowym i donosicielom i że wysoko cenił umiejętności krasomówcze, które zapewniały powodzenie na wiecach i w sądzie.

Nie wysportowana zatem i konserwatywna arystokracja ziemska, lecz ów żywiący się cebulą i zalatujący mazią ludek przetworzył kulturę grecką. Z jego zamiłowania do krasomówstwa zrodziła się retoryka i logika; z namiętności politycznych — wiedza o państwie, ekonomia; z nienawiści do tradycji i pochodzeniowych uprzedzeń — pierwsze w świecie wolnomyślicielstwo i racjonalizm; wszystko to — przez trzy obole...

Dziś, gdy ucichła wrzawa wiecujących na Pnyksie tłumów i tylko kolumny świątyń kroczą bezszelestnie przez tysiąclecia, cóż dziwnego, że Grecja wydaje się tak harmonijna i chłodna? Tylko osad sztuki pozostał na dnie kielicha; polityka wywietrzała, jak gdyby jej nigdy nie było i jakby nie ona wywołała z nicości metopy Partenonu i tragedie Ajschylosa. Czyżby jednak było przypadkiem, że właśnie w chwili, kiedy leader lewicy i przyjaciel Peryklesa, Efialtes, wnosi na zgromadzeniu ludowym projekt ustawy mającej osłabić ostatnią placówkę arystokracji w Atenach — areopag, w tej właśnie chwili członek najwyższej kasty eupatrydów, poeta Ajschylos, żąda chóru dla wystawienia swej trylogii dramatycznej, „Orestei", będącej glorifikacją tegoż areopagu?

Niby nic, niby czysta sztuka, a oszklone oko filologa dostrzeże tam całą dyskusję polityczną. I nie bez kozery natychmiast po przeprowadzeniu tej ustawy Ajschylos wyemigrował dobrowolnie na Sycylię, gdzie niebawem w roku 461 przed Chrystusem umarł. W napisie nagrobnym, jaki sam sobie ułożył, pomija — zgodnie z tradycjami swej klasy — wzgardliwym milczeniem swą działalność literacką wymieniając jedynie zasługi bojowe: „Tu leżą zwłoki Ajschylosa! Urodzony w Atenach, zmarł wśród żyznych równin Sycylii. Sławne pole maratońskie i Med długowłosy niech świadczą o jego odwadze". Lecz już w następnym pokoleniu dostojna jego twórczość nabrała sensu politycznego: przeciwstawiać ją poziomej i racjonalistycznej sztuce poety demokracji, Eurypidesa — uchodziło w kołach opozycji za oznakę zarówno dobrego tonu, jak wytwornie reakcyjnych przekonań.

W późniejszym o lat trzydzieści okresie wojny między Atenami a Spartą, zwanej peloponeską (431—404), rozkład arystokracji postąpił tak daleko, iż stać ją już było jedynie na program negatywny. W polityce działalność jej polegała na wzdychaniu za pokojem, czyli na tzw. mdłym pacyfizmie. Parę dokonanych przez związki młodzieży prawicowej i szybko zlikwidowanych zamachów stanu oraz konszachty z miłą arystokratycznym sercom Spartą skompromitowały ją ostatecznie. I w literaturze — podobnie jak w polityce — starczyło jej sił już tylko na negację. Toteż ostatnim jej wybitnym przedstawicielem w kulturze attyckiej był nie tragik już, lecz komediopisarz — Arystofanes.

Z jedenastu pozostałych po nim komedyj dziewięć atakuje z niespotykaną odtąd pasją demokrację; jej przywódców i ideologów. Nazwanie siedzącego w pierwszym rzędzie archonta (ministra) — takim synem, a przywódcy ludowego i generała, Kleona — defraudantem — wymagało niemałej zapewne odwagi cywilnej. Śmiałość tych inwektyw potwierdza jednak siłę reżymu, który był dość pewny siebie, by je tolerować. Prawda, że po jednej z takich napaści Kleon wymierzył sobie doraźną sprawiedliwość, policzkując Arystofanesa na oczach publiczności, o czym sam zresztą poeta — z możliwym tylko u starożytnych bezwstydem — opowiada („Osy", w. 1290 i nast.). Nie znamy niestety dalszego przebiegu tej sprawy; domyślamy się, że nie był on honorowy. Pojęcie to obce było starożytnym: wszystkie części ciała traktowali z jednakim szacunkiem i policzek nie miał u nich dzisiejszego uprzywilejowanego stanowiska.

Te złote czasy satyry, kiedy za najbardziej jadowitą złośliwość płaciło się tylko lekkim obrzękiem twarzy, skończyły się jednak jeszcze za życia naszego poety. Czy to, że on sam przebrał miarę, czy też, że — po klęsce Aten w wojnie peloponeskiej i po zamachu tzw. 30 tyranów — reżym czuł się bardziej niż poprzednio zagrożony, dość że około 397 r. wyszła ustawa zabraniająca aluzyj osobistych w utworach scenicznych. Ona to przecięła krótki i świetny żywot komedii politycznej. Dwie ostatnie — napisane już po jej wydaniu — sztuki Arystofanesa „Bogactwo" i „Wiec niewiast" poruszają problemy ogólno ludzkie, wspólne — niestety — wszystkim czasom: sprawiedliwy podział dóbr materialnych i — erotycznych.

Dziś, kiedy spór Arystofanesa z demokracją dawno już został rozstrzygnięty na jej korzyść, możemy śmiało, nie obawiając się posądzeń o chęć przywrócenia tyranii w Atenach, usiłować zrozumieć jego stanowisko. Ten największy gigant śmiechu, jakiego znają dzieje, był postacią tragiczną. Nie, jakoby przeczuwał nieuchronny zmierzch swej warstwy, lecz że we wszystkich poszczególnych zarzutach, jakie stawiał demokracji, miał głęboką słuszność: nie miał jej tylko w ich całości. Miał rację, kiedy przepowiadał, że z walki bratobójczej między Atenami a Spartą skorzysta ktoś trzeci: w istocie, tym trzecim okazał się Aleksander Macedoński; kiedy twierdził, że nowa kultura racjonalistyczno-dyskursywna zniszczy dawny, oparty na równowadze sił cielesnych i duchowych helleński ideał człowieka: w istocie, Grek późniejszych stuleci, pogardliwie Greczynkiem przez Rzymian nazywany, jest typem spekulatywnym lub spekulantem, molem książkowym lub handlarzem, nie poetą już ani atletą. Arystofanes miał po stokroć rację, kiedy trafnym węchem komika wyczuł, że i sofiści i zwalczający ich Sokrates, i Eurypides i demagodzy, i filozofowie i sykofanci — to właściwie jedna spółka sprzysiężona na zgubę Hellady i kiedy ogarniał ich wspólnym potępieniem. Przy tych wszystkich jednak cząstkowych racjach nie dostrzegał, że oni właśnie są ludźmi przyszłości, że po dawnej kulturze harmonijnej następuje jednostronnie rozumowa, że skończyła się epoka małych państewek i nadchodzi okres wielkich mocarstw.

Zdrada była zresztą już w nim samym. Gdy pisał przeciw demokracji, jej nawyki myślowe, jej chwyty dialektyczne cisnęły mu się pod rylec, przemawiały jego ustami. Jest w tym mimowolne przyznanie się do klęski duchowej, jeśli — by pokonać przeciwnika — używa się jego metod. Tak np. rycerze (w komedii Arystofanesa pod tym tytułem), aby utrącić bezczelnego niewolnika, który kłamstwami i pochlebstwem wkradł się w łaski bogatego i gderliwego staruszka, nazwiskiem „Lud", muszą — chcąc nie chcąc — wysunąć przeciw niemu podobnego mu warchoła, ulicznego sprzedawcę kiełbasek, który go pokona jego własną bronią. Motłoch — zdaje się mówić Arystofanes — można opanować tylko motłochem; czymże jest bowiem na mównicy szlachetnie urodzony rycerz wobec Kleona, z zawodu garbarza? Należałoby znaleźć plebejusza dość bezczelnego, by go przemóc, dość jednak oddanego sprawie arystokracji, by się jej nie sprzeniewierzyć. Ta metoda walki bronią przeciwnika jest jednak o tyle niebezpieczna, że w gmatwaninie środków zapomina się nieraz o celu ostatecznym. Toteż Arystofanes, broniący dawnych wiar i obyczajów, często sam je w ferworze satyrycznym wykpiwa. Oto jak ów konserwatywny poeta opisuje pobyt w świątyni Asklepiosa, dokąd pielgrzymowano w nadziei cudownych uleczeń:

KARION:

Byli tam różni, kaprawi i ślepi,
Co kraść umieją od widzących lepiej.
Zgasił kaganki święty sługa boży
I rzecze: „Do snu niechaj się ułoży
Każdy. A jeśli jaki głos usłyszy,
Niech się nie rusza, nie mówi, nie dyszy".
Więc na podłodze legliśmy w porządku.
Ja spać nie mogłem, bo zwęszyłem w kątku
Butelkę chmielu niezrównanej woni.
Tajemna siła ciągnęła mnie do niej.
Otwieram oczy: widzę — jako żywo! —
Jak kapłan zmiata figi i pieczywo
Z świętego stołu. A potem ołtarze
Obszedł kolejno, a gdzie tylko znalazł
Ciasteczka jakie, wnet cały ten balast
Sypał do mieszka. Sądząc, że tak każe
Święty obyczaj, ja sięgam po kubek
I znów do beczki...

KOBIETA:

Boga się nie bałeś?

MARION:

Bałem się boga, aby mnie nie ubiegł,
Przede mną cały wypiwszy antałek...
(„Bogactwo", w. 665—686).
(przekład mój).

Równie dwuznacznie wypadła Arystofanesowa obrona rodziny zagrożonej wówczas przez podwójnego wroga: prostytucję i homoseksualizm. Demokracja bezpośrednia, gdzie prawo głosu miał nie — jak dziś — delegat, lecz każdy obywatel, zniszczyła dawne życie domowe. Kobiety, oddane po staremu tkactwu i pijaństwu pozostawały coraz bardziej w tyle za mężczyznami, których kształcił rynek, gimnazjum i teatr. Były wyłączone z tworzącej się kultury: minęły czasy, kiedy wychodziły spomiędzy nich znakomite poetki, jak Safo z Lesbos i Anyto z Tegei. Współczesny Arystofanesowi historyk Tucydydes mówi o nich: „Najlepszą żoną jest ta, o której nie słyszy się nic dobrego ani złego", a późniejszy Plutarch tak opisuje ówczesne ich położenie: „Władza kobiet kończyła się u wrót jej domu, tam, gdzie rozpoczynał się świat mężczyzny. Nie miała prawa towarzyszyć mu w życiu publicznym lub nawet wiedzieć o czymkolwiek, co się działo poza domem". Gdzie indziej zaś: „Uczciwa niewiasta nie może być równocześnie żoną i kochanką".

Jeśli jednak kobiety ówczesne nudziły się bez mężczyzn, to ci, odwrotnie, nudzili się z nimi: w poszukiwaniu subtelniejszej erotyki musieli się uciekać już to do towarzystwa kształconych specjalnie heter, już to do mężczyzn. Było to jedyny w dziejach wypadek, kiedy homoseksualizm odegrał rolę rozwojową. Stał się cementem demokracji, gwarancją wierności — między członkami organizacji (heterii), przyjaźni — między mistrzem a uczniem. Pamiętamy dwuznaczne aluzje dialogów platońskich i teorię miłości platonicznej, która ma być uwznioślenieм pederastii. Czołowy poeta demokracji ateńskiej Eurypides znaczną część swej twórczości poświęcił wymyślaniu kobietom: poza przyczyną osobistą, nieszczęśliwym małżeństwem, działał tu także zapewne antyfeministyczny nastrój epoki. Arystofanes, który wyczuł w tym atak na całość rodziny, a Eurypidesa — jak wiemy, skądinąd — nie cierpiał, wystąpił w obronie płci pięknej aż w trzech komediach: „Tesmoforie", „Lysistrata", „Wiec niewiast". Gdyby kobiety — mówi w nich — podniosły bunt i objęły władzę, rządziłyby państwem znacznie mądrzej niż mężczyźni, nie dopuściłyby do długotrwałej wojny, zaprowadziłyby sprawiedliwość społeczną i słuszniejszy podział — powodzenia w miłości. Przytrafiło się jednak Arystofanesowi z kobietami to samo, co z religią: zdradził bowiem przy sposobności tyle ich alkowianych tajemnic, przypiął im tyle — niecenzuralnych już dzisiaj — łatek, że gdyby były one obecne na jego sztukach w teatrze (dokąd ich nie dopuszczano), mogłyby zapewne — podobnie jak i kapłani — antycypować dzisiejsze powiedzenie: „Chroń nas Boże, od przyjaciół. Przed wrogami same się obronimy".

Nie w obronie kobiet już, ani rodziny, lecz starej szkoły literackiej Ajschylosa, zagrożonej Eurypidesowym nowatorstwem, wystąpił Arystofanes w komedii „Żaby". Sztuka ta powstała po śmierci Eurypidesa: nie chodziło więc w niej — jak to bywa między literatami — o porachunki osobiste, lecz o sprawy — że tak powiem — zasadnicze. Arystofanes widział bowiem w Eurypidesie poetyckiego przedstawiciela sofistyki.

Istotę tego prądu trudno ująć w dzisiejsze kategorie. Antycypuje on wiele późniejszych kierunków, nie będąc identyczny z żadnym. Najłatwiej określić go genetycznie, opisując jego powstanie. Sofista — to typowe dla starożytności, wyrosłe z potrzeb demokracji bezpośredniej, połączenie adwokata i filozofa, literata, profesora i polityka w jednej osobie. Mógł on — jak ów nauczyciel wymowy w „Pygmalionie" Shawa — okrzesać w ciągu paru miesięcy wychowanka, nauczyć go manier i sztuki wysławiania się, mógł wystylizować przemówienie polityczne lub sądowe, na żądanie nawet — dwa przeciwstawne. Dziś jednak, jeśli słyszymy dwie równie przekonywujące, lecz sprzeczne z sobą adwokackie perory, podziwiamy jedynie dowcip mówców; nie snujemy jednak ogólnych wniosków o teorii poznania ani nie wątpimy o rzeczywistości obiektywnej. Starożytni, wrażliwsi na słowo i skłonniejsi od nas do teoryj, z wielości możliwych mniemań wnioskowali o wielkości prawd. „Człowiek jest miarą wszechrzeczy" — mawiali sofiści; pierwszy zalążek pragmatyzmu, pluralizmu, woluntaryzmu i wielu innych katastrof XX stulecia. Konsekwencje praktyczne były jasne: jeśli niesposób ustalić racyj obiektywnych, decyduje prawo silniejszego.

Na nie to właśnie powołali się, pertraktując z mieszkańcami wrogiego miasta Melos, biegli w sofistyce delegaci ateńscy. „Aby się porozumieć" — rzekli — „wyjdźmy z założenia, na które się wszyscy zgadzamy, a mianowicie, że sprawiedliwość obowiązuje tylko tam, gdzi siły obu stron są równe; gdzie natomiast jedna z nich ma przewagę, czyni cokolwiek się jej podoba". Dalej zaś: „Nie obawiamy się gniewu bożego... Wierzymy, że bogowie — i wiemy, że ludzie, ilekroć mają przewagę, korzystają z niej bezwzględnie; jesteśmy pewni, że i wy i każdy inny w podobnej sytuacji zachowałby się tak samo" (Tucydydes). Spowodowany przez sofistów ferment był jednak — w ostatecznym rachunku pożyteczny. Obalając moralność tradycyjną, wywołali potrzebę nowej, bardziej racjonalnej. Ich kruczki prawne i nadużycia logiczne zmusiły do uściślenia zasad myślowych. W walce z nimi Sokrates i jego uczniowie stworzyli nową etykę i logikę. Na razie jednak epoka była pod niepodzielnym ich władztwem.

W literaturze wpływ ten objawił się dwojako: w stylu jako pogoń za efektami, za ciętością i niespodzianką sformułowań, w charakterystyce postaci — jako tzw. psychologizm. W tragediach Eurypidesa każda osoba ma swoją rację i usprawiedliwienie. Kiedy w jego „Alkeście" skazany na śmierć Admet błaga dogorywającego ojca, by ofiarował zań życie, którego mu niewiele już pozostało, ten — wyuczonym u sofistów ciosem — odparowuje: „Cieszy cię żywot. Ojca by nie cieszył?" Gdzie indziej bohater, by wykpić się od dotrzymania obietnicy, używa jezuickiej metody: „Język przysiągł, lecz serce — niezaprzysiężone"! Te, dla nas już nieco wytarte, chwyty — olśniewały współczesnych. Chcąc wykazać ich zgubne konsekwencje praktyczne, Arystofanes — często stosowanym przez satyryków sposobem — obraca je przeciw samemu Eurypidesowi, który występuje dość często jako osoba działająca w jego sztukach. Kiedy np. w komedii „Tesmoforie" Eurypides zwraca się do swego przyjaciela Agatona z prośbą o wyświadczenie mu pewnej dość ryzykownej przysługi — ten odpowiada:

Eurypidesie! Wszakżeś to ty mawiał:
„Cieszy cię żywot. Ojca by nie cieszył?"

EURYPIDES:

Tak.

AGATON:

Więc nie żądaj, bym za cię nadstawiał
Karku i przeciw twym zasadom grzeszył.
Wypij-że piwo, któregoś nawarzył...
(przekład mój).

Podobnie kiedy w komedii „Żaby" Eurypides żąda od Djonizjosa dotrzymania obietnicy, ten bije weń jego własnym cytatem:

Język przysiągł, lecz serce — niezaprzysiężone.

Arystofanes wykazuje — jak widzimy — zgubne konsekwencje psychologizmu w literaturze. Lecz jeśli ten postawiony Eurypidesowi zarzut, dość zbliżony do pewnych dzisiaj głoszonych haseł, mógłby się wydawać częściowo uzasadniony, to atak na Sokratesa jest drastyczną i brzemienną w skutki pomyłką. W 399 r. sąd ludowy skazał Sokratesa na śmierć za demoralizowanie młodzieży: oskarżenie to 20 lat temu sformułował już Arystofanes w sztuce „Chmury". Stary kutwa i pieniacz Strepsiades, obdarzony przez los rozrzutnym potomkiem, chcąc się wykręcić od długów, skutków wystawnego życia syna, udaje się do niejakiego Sokratesa, który ponoć uczy wywracać kota ogonem. Nie będziemy opisywać zapluskwionego seminarium filozoficznego, ani bujającego w hamaku (skąd łatwiej badać obroty księżyca) Sokratesa, ani daremnych wysiłków starego dusigrosza, by zgłębić misteria sokratycznej dialektyki; dość, że przekonany nareszcie o własnej tępocie, posyła na swoje miejsce syna na naukę. Ten jednak nauczył się tam nie tylko sądowych matactw; dowiedział się również, że Boga nie ma i że, wobec tego, można bezkarnie łupić własnego ojca, co też czyni. Strepsiades ma oczywiście za złe Sokratesowi tak daleko posuniętą wolnomyślność swego syna i podpala seminarium wraz z tymi, którzy śmieli „badać obroty księżyca".

Arystofanes — jak widzimy — demaskuje się w tej komedii jako zwykły obskurant. Bądźmy jednak konsekwentni! Jeśli gotowi byliśmy poprzeć jego zarzuty, stawiane Eurypidesowi, czemuż byśmy teraz mieli się cofnąć? Pomyłka Arystofanesa leżała nie w tym, że wykazał rozkładowe konsekwencje nowomodnej dialektyki, lecz atak skierował w niewłaściwym kierunku, mieszając Sokratesa z sofistami. Istniały, oczywiście, pewne podobieństwa między nimi: i sofiści i Sokrates negowali tradycyjną moralność, wartości człowieka dopatrywali się nie w dobrej rasie i cechach wrodzonych, lecz w rozumie. „Doskonałości można się nauczyć" — twierdzili. Lecz gdy tamci burzyli tylko starą moralność, Sokrates tworzył już nową; był dalszym szczeblem rozwoju, antytezą sofistycznej tezy. Gdy tamtym kruczki dialektyczne służyły tylko do wykazywania chwiejności starych pojęć, ten budował nową logikę. Tego właśnie Arystofanes — z właściwą wszystkim satyrykom skłonnością do uproszczeń — nie odróżnił. Nie zrozumiał, że Sokrates, kontynuując sofistykę, zarazem ją likwiduje i że jest zatem jego, Arystofanesa, pośrednim sprzymierzeńcem. Pomyłka wielkiego komika przysporzyła światu jedno arcydzieło więcej i — jeszcze jednego męczennika.

Artur Sandauer

Okres przejściowy

Pojęcie okresu przejściowego troskliwie pielęgnują dzisiaj różne urzędy i instytucje dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności za wszelkie przejawy nieudolności, niedbalstwa lub złej woli. Chucha się poprostu na ten cudowny okres przejściowy i modli się, żeby Boże broń nie okazał się naprawdę przejściowym, czyli żeby przypadkiem nie przeszedł. Bo co wtedy będzie? Wtedy trzeba będzie ponosić odpowiedzialność.

Zawsze zdarzają się wypadki, które przez analogię do kiepsko urządzonych zakładów przemysłowych można by nazwać „brakiem bezpieczeństwa pracy": maszyna zabija lub kaleczy obsługującego ją lub pracującego w jej pobliżu robotnika, ni stąd ni zowąd pada ktoś ofiarą niebezpiecznej transmisji. To się trafia. Nie wolno jednak do błędów dorabiać mistyki, ani do szaleństwa metody.

Zetknąłem się niedawno boleśnie z takim pasem transmisyjnym, furkoczącym szaleńczo i nieobliczalnie nad głowami ludzi, którzy mają nieszczęście żyć w okresie przejściowym („Pro domo mea" w nr. 50 „Odrodzenia"). Obecnie, w następstwie tego przykrego zdarzenia, mam ciągle do czynienia z mistyką „okresu przejściowego". Od opowiedzianej katastrofy mieszkaniowej minęło ładnych parę miesięcy. Mimo interwencji uniwersytetu i poruszenia sprawy w prasie żadna władza, ani wojskowa, ani cywilna, ani państwowa, ani samorządowa, choć rekrutują się one dzisiaj z ludzi pracy, nie zatroszczyła się o los człowieka pracy, o los urzędnika państwowego. Nikt się nie zapytał nawet, gdzie i jak ludzie ci teraz mieszkają.

Wreszcie oficerowie, którzy zajęli dom, odjechali. Od tej pory historia staje się naprawdę ciekawa. Okazało się bowiem, że nikt nie wie, jakim prawem owa jednostka postępowała z obywatelami jak w kraju nieprzyjacielskim. Podobno prokuratura wojskowa wszczęła dochodzenie, co stanowi dla nas małą pociechę — wolelibyśmy, żeby nam po prostu zwrócono mieszkanie. W jednym urzędzie usprawiedliwiano się, że nic nie można było zrobić, „bo ci ludzie przyszli z rewolwerami". W innym żonglowano wcale wprawnie mistycznym tonem dziejowym: okres przejściowy, nie pan jeden, trzeba zrozumieć itd.

Mówiąc otwarcie nie widzę powodu, dlaczego miałbym to rozumieć. Maszynista musi uważnie prowadzić lokomotywę, wartownikowi nie wolno spać, powieściopisarzowi nikt nie wyda marnej książki, minister za gaffę dostaje dymisję. Niechby no też kto spróbował nie zapłacić rachunku elektrowni lub jeździć na rowerze niezarejestrowanym. W tych wypadkach nikogo nie usprawiedliwi okres przejściowy. Więc niby dlaczego miałbym koniecznie rozumieć inne, wcale nie lepsze wypadki?!

Przemawiano też do nas tonem patriotycznym. Wizyta w Komendzie Wojskowej przekonała nas, że jesteśmy złymi obywatelami, bo chcemy mieszkać, aczkolwiek nie braliśmy udziału w walkach. Moja córeczka jeszcze trzech lat nie ma, bęben nawet prochu nie powąchał a już także chce mieszkać — takie to typki bezczelne rodzą się w okresach przejściowych! Powiedziano nam dosłownie, że żołnierze po to walczyli, żeby teraz wygodnie mieszkali. Zrozumiałbym to może, gdybym był poetą-ziemianinem, bobym się losem Wirgiliusza pocieszał, a tak nie pozostaje mi nic innego, jak dziwić się, że obecna wojna nie zniosła niemądrego podziału obywateli na wojskowych i cywilnych, bo przecież ludność niemundurowana tym razem chyba nie mniej wycierpiała i nie mniej była co dnia i co godziny narażona na śmierć niż żołnierz na froncie.

Jako cywil nie mogę ani w ząb pojąć, że moja rodzina ma się tułać i poniewierać, że moja biblioteka ma niszczeć po to, żeby wdowa po sierżancie mogła w moim mieszkaniu chować świnie! Autentyczne! Dlaczego niby szacowne, czworonożne dostarczycielki szynek i kiełbas mają sobie w okresie przejściowym poprawiać warunki bytu, a ludzie pracujący nad odbudową państwa mają mieć tak trudne warunki życia?!

Przyjaciele prawnicy chcieli wystąpić w moim imieniu o odszkodowanie za zniszczenie spowodowane przez żołnierzy polskich w moim księgozbiorze. Przed wojną taka sprawa mogłaby trwać latami. Cóż dopiero dziś, w okresie przejściowym? Znam wypadek, że w opuszczonym przez Niemców hotelu usadowiła się jakaś organizacja. Kiedy zaś właścicielka wyprocesowała swą własność, wyprowadzający się goście zabrali ze sobą urządzenia wewnętrzne; na protest zaś, kazali sobie przedłożyć rachunki przedwojenne na dowód, że meble były uczciwie kupione. Otóż byłem przed wojną na tyle lekkomyślny, że zbierałem książki, zamiast rachunków. Bukiniści i antykwariusze paryscy, florenccy, rzymscy, brukselscy, wiedeńscy, berlińscy, monachijscy, genewscy, zuryscy i inni nie mieli zwyczaju wystawiać rachunków. W czasie wojny straciłem zresztą wszystkie dokumenty aż do świadectwa szczepienia ospy włącznie, więc nie wiadomo, czy zdołałbym w sądzie udowodnić, że w ogóle przed wojną istniałem.

Największa przecież byłaby bieda z ustaleniem wysokości strat. Pomijam rozkradzione w czasie zbrojnej eksmisji dzieła, których już nie można nabyć. Do najdotkliwszych zaliczam braki w tomach poezji ze względu na dedykacje i mój zwyczaj nieszczęsny zostawiania w książkach notat robionych w czasie czytania. Przy tej sposobności pisarzów, których autografy poszły na rynek, przepraszam za okres przejściowy. Sam kupiłem w Warszawie przed samym powstaniem za 15 zł. tom wierszy Iwaszkiewicza z dedykacją dla Stanisława Przybyszewskiego (ocalał w eksmisji!) Natomiast zebrane utwory Ważyka, „Dębem rosnę" Flukowskiego, ostatnie tomy Przybosia i Bieńkowskiego poszły w świat szerzyć kult trudnego piękna. Szczęść im Boże na nową drogę. Niech dożyją przynajmniej tej pociechy, że w Polsce nie będzie się księgozbiorów wyrzucało na ulicę (razem z czytelnikami). Przepadł też tom nieżyjącej poetki żydowskiego pochodzenia z dedykacją: „Z prośbą o ubój humanitarny". Tragiczne jasnowidztwo dowcipu.

Wróćmy wszakże do powieści. Jednostka, która samowolnie zakwaterowała się w domu przy ul. Wolności 22 szczęśliwie wyjechała. Władze cywilne i wojskowe przyznały, że to było bezprawie. Dom jednak już na zawsze pozostał do dyspozycji wojska! Po prostu bezprawie trwało bezprawnie i bezkarnie wystarczająco długo, aż stało się prawem! Okres przejściowy przeszedł w stan stały, czyli normalny!

W dodatku nikt nam nie może wytłumaczyć, dlaczego i jakim prawem to wszystko się stało. Urząd mieszkaniowy porozumiawszy się z wojskowym biurem kwaterunkowo-budowlanym przyznał nam z powrotem nasze stare mieszkanie. Zamówiliśmy szklarza, malarza, zduna (okres przejściowy). Przydział nie wytrzymał jednak nawet dwudziestu czterech godzin! Nieprzewidzianie znalazła się jeszcze jedna władza. Oto komendant garnizonu oświadczył, iż nie uznaje decyzji urzędu mieszkaniowego i kazał oficerom swoim zerwać pieczęci miejskie! Jest to incydent sam w sobie, jak mówią filozofowie, wesoły, zgoła karnawałowy, świadczący o dobrym, szampańskim samopoczuciu wojaka. Ma tylko jedną nieprzyjemną właściwość, że coś nie coś ośmiesza władzę państwową w oczach obywateli. Takie drobiazgi, jak publiczne, przy świadkach niepotrzebnych zrywanie pieczęci jednego urzędu przez przedstawicieli drugiego działają szkodliwie dla odbudowującego się państwa.

Okazuje się, że można znaleźć sposób także na pana komendanta. Państwo przewidując wyskoki samowoli różnych prowincjonalnych satrapów ustanowiło drabinę instancji, o nieprzeliczonej dla zwyczajnego śmiertelnika ilości szczebli służbowych, sięgającej jak we śnie Jakubowym od niskiej ziemi aż do nieba, gdzie panują Trony, Moce i Potęgi. Poradzono nam udać się ze skargą do dowódcy D.O.W. w Kielcach. Bo to podobno bezprawie, co zrobił komendant garnizonu. Boję się tylko, czy ono się znowu nie uprawni, zanim my dotrzemy do Kielc. Poza tym mam inne wątpliwości. Dobrze wiadomo, jak się dzisiaj podróżuje oraz ile to kosztuje, naodwrót zaś nie wiadomo, czy to coś poskutkuje — okres przejściowy, nie pan jeden, trzeba zrozumieć itd. Być może, iż z Kielc odesłanoby mnie dalej, a potem jeszcze dalej i wyżej i coraz wyżej, aż do samego marszałka Żymierskiego.

Wyprawa zaś do Warszawy, czekanie na audiencję to dalsze koszta i dalsza pewna strata czasu, a wynik znowu niepewny. Nie mówiąc o tym, że zajęcia uniwersyteckie nie pozwalają mi na ustawiczne rozjazdy po wysokich instancjach w sprawie bądź co bądź prywatnej. Ani dziekan bowiem, ani rektor, ani minister oświecenia publicznego nie chcą wcale zrozumieć, że żyjemy w okresie przejściowym.

Wacław Kubacki

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

W teatrach łódzkich

Istnieje często praktykowany rodzaj numerów rewiowych, polegający na przeglądzie epok, reprezentowanych strojem, tańcem, piosenką. Pokazuje się np. kolejno, jedne po drugich: gawota, walca, kankana, shimmy — wszystko z podkreśleniem kolorytu odpowiednich i rzewnie odległych dat: jakieś 1880, 1900, nawet 1920... Takie przypadkowe wrażenie rewii epok ma kronikarz czterech przedstawień w czterech teatrach łódzkich w styczniu 1946 roku, wrażenie bardzo zresztą dla współczesności nieszczęśliwe, ponieważ reprezentowane jest doprawdy w najkrzywszym ze zwierciadeł — w teatrze rewiowym.

W ogóle gdyby tak chcieć wysnuć z tego wnioski, można by po odwiedzinach w Teatrze Wojska Polskiego, Teatrze Powszechnym TUR, Teatrze Kameralnym i Teatrze „Syrena" stać się zaciekłym konserwatystą i bić na alarm, żeby co prędzej wystawiono — Sofoklesa. Przekrój Beaumarchais, Dickens, Tadeusz Rittner i... komedia „Plecy" pióra Jerzego Jurandota jest przekrojem fałszywym, ale wymownym. Sztuk współczesnych, współczesnych w całym tego słowa znaczeniu — takich jak „Wesele Figara" dla roku 1784, kiedy było wystawione po raz pierwszy — dzisiaj nie ma, choć są sztuki napisane w latach 1939—1945, i to sztuki aktualne.

„Wesele Figara" w Teatrze Wojska Polskiego, w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego, jest przedstawieniem współczesnym nie dlatego, że zawiera słynne aluzje wielkiego komediopisarza, które zadecydowały o rewolucyjności jego sztuki i o roli, jaką odegrała w latach tysiąc siedemset osiemdziesiątych. Jest komedią współczesną, bo jest napisana tak świetnie, że nie traci myszką, chociaż w subtelnym obrazie przemian społecznych nadciągającej mieszczańskiej rewolucji nie wiele jest z tego, co mogłoby być zwierciadłem dzisiejszych przemian i co nie uszłoby uwagi widza, gdyby go odpowiednio nie przygotowano, zapoznając go z niezwykłymi dziejami komedii i jej rolą historyczną.

Ale zważywszy nawet fakt, że „Wesele Figara" cieszy widza bez względu na świadomość wagi sztuki i na znajomość historii, trudno nie stwierdzić, że byłoby rzeczą dziwną, gdyby dzisiaj, w gorączkowym poszukiwaniu repertuaru, który by nie drażnił naszej specyficznej, powojennej wrażliwości, — sztuki tej nie wyciągnięto i nie wyzyskano. Aż się o to prosi.

Jako przekrój historii nie jest ona nudną tyradą dydaktyczną, z „zagadnieniem" doczepionym od zewnątrz. Jest historią żywą, najlepszą, jaką dać może literatura — autentyczną i obnażającą koloryt epoki, jej styl i jej wiarę. Jako sztuka pisana przed laty prawie siedemdziesięciu, nabrała tyle tylko patyny, ile trzeba, aby dać pole do popisu reżyserowi inteligentnemu, świadomemu środków subtelnej stylizacji, takiej właśnie, jaką zastosował w Teatrze Wojska Polskiego Kazimierz Rudzki, któremu zawdzięczamy organizację doskonałego przedstawienia.

Miał on niewątpliwie trudności z obsadzeniem roli głównej: **Dobiesław Damięcki,** ciężki, zażywny i majestatyczny, nie miał dostatecznej ruchliwości i werwy, jaka cechować powinna była sprytnego Figara, przedstawiciela młodej warstwy mieszczańskiej: aktor robił zresztą co mógł i trudno winić go za brak warunków zewnętrznych. Poza nim gra całego zespołu zdawała się być zestrojona znakomicie, zwłaszcza postaci kobiece. — Zuzia — **Janina Romanowny** i hrabina — **Zofii Grabowskiej,** miały w sobie to wszystko, co mieć powinny: pierwsza — żywość, spryt i fertyczność subretki, druga — omdlewającą i subtelną filigranowość rokokowej hrabiny. **Władysław Krasnowiecki** oddał w sposób przekonywający sylwetkę więdnącego arystokraty, **Czesław Wołłejko** był jakby stworzony do roli kobiecego pieszczocha-cherubina. Role charakterystyczne współgrały ze sobą, pobudzały widownię do śmiechu, co było ich zadaniem. Wykonywali je: **Irena Horecka** (Marcelina, matka Figara), **Jarosław Skulski** (don Basilio), **Władysław Grabowski** (sędzia), **Stanisław Łapiński** (Bartolo, lekarz), **Włodzimierz Kwaskowski** (Antonio, ogrodnik), **Halina Jezierska** (Franusia). Ilustracja muzyczna i dekoracje poddane były także kierującej sztuką koncepcji reżysera i współdziałały w widowisku barwnym, stylowym i żywym.

Nie mniejszą przyjemność zanurzenia się w epokę i styl lat odległych dało nam przedstawienie drugiego z teatrów łódzkich, powstających pod dyrekcją Teatru Wojska Polskiego, a mianowicie Teatru Powszechnego TUR, gdzie wystawiona została przeróbka teatralna Dickensa „Świerszcz za kominem". O ile jednak organizatorzy „Wesela Figara" zatroszczyli się o to, aby wprowadzić nas w dzieje i kulisy sztuki Beaumarchais, znane zresztą publiczności polskiej dzięki genialnej literacko-pedagogicznej działalności Boya, o tyle o „Świerszczu za kominem" w programie i afiszu widowiska nie powiedziano widzowi nic, co by go mogło zorientować, tak dalece, że gotów on pomyśleć, iż Dickens pisał sztuki teatralne. Niewiadomą sprawą pozostaje także fakt, kto dokonał przekładu utworu Dickensa na język polski, jak również co było pierwsze — przekład czy przeróbka. Sekret po rozwiązaniu tj. uzyskaniu informacji (po którą jednak ogół widzów sięgać nie będzie) wygląda tak: przeróbki teatralnej dokonano na język rosyjski, a językowi polskiemu przyswoił ją Leon Schiller. Może Schiller nie chce ujawniać tego, że tłumaczył z rosyjskiego, a nie z oryginału? Nie jest to zbrodnią, skoro przeróbka jest udana, a przedstawienie wyjątkowo miłe i wzruszające. Zamazywanie śladów roboty, jaką przeszedł utwór, nim z tomu dickensowskich „Opowieści Wigilijnych" przedostał się na scenę łódzką, nie wydaje się celowe. Tym bardziej, że dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie biedny Dickens ma już w Polsce takie jakieś szczęście: większość przekładów jego dzieł ukazała się i krąży anonimowo. Co dawniejsze, nie są to zawsze przekłady tak złe, jak niektóre z tych, jakie ukazują się pod nazwiskami. Może wchodzą tu w grę jakieś machinacje z prawami autorskimi?

Wróćmy jednak do przedstawienia. „Świerszcz za kominem" — to rozbrajająca historia o ślepej dziewczynie zakochanej w starym i okrutnym fabrykancie zabawek, dzięki iluzjom, w jakich utrzymuje ją jej kochający i zapracowany ojciec wyrabiający razem z córką lalki dla swego pryncypała. Patrząc na tę rzewną opowieść o cieple domowego ogniska i o tym, że człowiek jest przecież dobry, tylko dobry, a jeśli wydaje się zły — to dobrym sercem można i należy zawsze to zło pokonać, przełamać, zniweczyć — doznajemy dziś wzruszenia, które zwycięsko przechodzi do porządku dziennego nad psychologicznymi nieprawdopodobieństwami autora „Klubu Pickwicka". Realizm Dickensa — to realizm oparty na prawach zupełnie innych niż te, które kreślą polującym na odtworzenie życiowej prawdy późniejsi nieco realiści i naturaliści kontynentu. „Na upadku realizmu, tak jak na jego panowaniu" — pisał Chesterton w pierwszej ćwierci naszego stulecia — „Dickens nie zyskał. Odbyła się rewolucja i kontrrewolucja, ale nie było restauracji... Najprostszym sposobem określenia obecnego zaniedbania Dickensa jest stwierdzenie, że przesada jego idzie w kierunku niezgodnym z naszymi czasami i upodobaniami". Pokolenie, które starał się przekonać do Dickensa Chesterton, uznawało symbolizm i „przesadę" modernistów, ale nie uznawało schematów „demokratycznego optymizmu". Dla niego Żeromski był bardziej realistą niż Dickens. Dzisiaj doznajemy i z radością wchłaniamy w siebie poczucie głębokiej prawdziwości „Świerszcza za kominem". Widzimy w nim przekrój zjawisk, których godzina wybiła akurat sto lat temu. „Opowieści wigilijne" Dickens napisał w roku 1844. Wiara w dobroć człowieka w tej epoce potężniejącego industrializmu wydaje nam się równie piękna i baśniowa, jak wiara w sprawiedliwość haseł głoszonych przez tych, których przedstawicielem w „Weselu Figara" jest sewilski cyrulik.

Przedstawienie w Teatrze Powszechnym należało do najprzyjemniejszych przedstawień łódzkich. Podobnie jak w „Weselu Figara", tak się jakoś złożyło, że przodujące miejsce w grze zespołu trzymały kobiety: świetna **Ryszarda Hanin** (ślepa Berta) niemniej doskonała **Justyna Karpińska** (Mery Pearybingle) oraz **Halina Billing** w roli charakterystycznej — plastunki Tilly. Z ról męskich najwięcej do myślenia dawała kreacja **Józefa Maliszewskiego,** który był fabrykantem Tuckeltonem, typowym dickensowskim czarnym charakterem, i właściwości tego rodzaju roli podkreślił, nadając jej demonizm złych czarodziejów w baśniach dla dzieci. Wydaje mi się, że tego rodzaju stylizacja tej roli była słuszna. Na uwagę zasługuje też gra **Konstantego Pągowskiego,** jako Kaleba, ojca Berty. Całe opowiadanie w trzech aktach (w tekście noweli — pierwsze, drugie i trzecie „ćwierkanie świerszcza") ujęte jest w ramy prologu i epilogu, który wypowiada „głos autora" — w tym wypadku głos **Andrzeja Boguckiego,** którego pickwickowski cylinder i okulary mogły dać nam złudzenie kontaktu z duchem czarodzieja z Chatham. Bardzo korzystne wrażenie robiły dekoracje i kostiumy w opracowaniu **Stanisława Cegielskiego.** Reżyserował „Świerszcza" **Stanisław Daczyński.**

Przeniesienie w bliższą nam epokę „moderny", i to na swojskim gruncie — bo na gruncie komedii Tadeusza Rittnera „Głupi Jakub", granej w Teatrze Kameralnym, nastraja nas krytycznie zarówno do epoki, jak i do samej sztuki. Sztuka nie wydaje się dziś ciekawa i nie bardzo wiemy, po co jest grana, w dodatku z kompromitującą uwagą zamieszczoną w programie, że „rzecz dzieje się współcześnie w majątku szambelana".

Jest rzeczą zdumiewającą, jak bardzo jasełkowa, zamknięta architektura dworków szlacheckich urzekała naszych scenopisarzy i pchała ich do umiejscawiania akcji swych utworów tam właśnie, gdzie nic się żywego już od dawna w Polsce nie działo. Jest zdumiewające, jak dużo sztuk wcale z epoką szlachecką nie związanych działo się właśnie na tle dworków. Wystarczyło łagodnej rewolucji lat 1944—1945, żeby cała ta sceneria zaczęła uderzać nas bezsensem zarówno wnętrza, jak typów i problematów. Sztuka Rittnera pokazuje wprawdzie rozkład szlacheckiego gniazda i ofensywę „gminu", ale ten rozkład też mamy już poza sobą, a „głupi Jakub" ze swoimi zmartwieniami domniemanego nieślubnego syna dziedzica jest dla nas równie niedorzeczny, co typy chłopskie Rostworowskiego z „Niespodzianki".

W całej sztuce jedyną osobą budzącą nieco naszej sympatii i pewne zrozumienie jest niedaleka krewna bohaterek Zapolskiej — Hania, dla pieniędzy i stanowiska uwodząca starego szambelana. Hania jedna, choć w zamierzeniu autora bynajmniej nie pociągająca moralnie, jest osobą, o której wiemy, jaka byłaby jej rola dzisiaj: możemy ją sobie w dzisiejszej rzeczywistości wyobrazić. Ta przedstawicielka ruchu wstępującego mas, słusznie nie jest pokazana jako wyemancypowana chłopka, lecz raczej salonowa uwodzicielka: kobiety szybko przystosowują się do zmiany ról życiowych. Trudniej jednak pogodzić się z tym, że „głupi Jakub", rządca folwarczny, przypomina wielkomiejskiego dandy. **Jerzy Duszyński** stanowczo nie jest aktorem najszczęśliwiej dobranym dla tej roli. Najlepszą kreacją w niezbyt zgranym zespole Teatru Kameralnego była postać szambelana — **Michała Meliny,** który w sztuce wyszedł lepiej jako aktor niż jako reżyser. Przedstawieniu zabrakło jednolitego stylu, reżyser próbował odbarwić je z młodopolszczyzny — a uzyskał niekiedy nieledwie klaską farsę. Nie stało skórki na wyprawkę.

Teatr „Syrena" gra z niesłabnącym powodzeniem utwór Jerzego Jurandota „Plecy". „Plecy" — to oczywiście „protekcja" udzielona przez mitycznego dygnitarza o zmyślonym nazwisku, który staje się dźwignią powodzenia pewnego teatru i biednego, lecz pomysłowego aktora, występującego w tym teatrze. Nie jest to właściwie komedia ani nawet farsa, lecz duży, podzielony na akty „skecz", czy też montaż „skeczów" i innych rewiowo-teatrzykowych sytuacji, mniej lub więcej udanych, jeśli chodzi o wdzięk i dowcip, aktualnych w styczniu 1946 roku, lecz nie mogących rościć pretensyj do przetrwania dłużej niż jeden sezon. Wykonawcami widowiska są łódzcy ulubieńcy: **Gierasiński, Stefania Grodzieńska, Dziewoński** i inni. Jako jedyna, pierwsza na łódzkiej scenie, współczesna „sztuka" polska w ciągu roku po wyzwoleniu spod okupacji — „Plecy" są złośliwym grymasem Melpomeny. Miejmy nadzieję, że w najbliższym czasie, nie rozchodząc się z polską współczesnością, muza ta rozpogodzi swą fizjonomię i ukaże się nam w postaci mniej... „podkasanej".

Ryszard Matuszewski

Rzeźby Wita Stwosza w schronie norymberskim

PRZEGLĄD PRASY

Troska o Ziemie Zachodnie nie może uzewnętrzniać się w retoryce tylko. Nie wystarczy opracowywanie ogólnych programów kulturalnych i propagowanie w społeczeństwie zainteresowania bardziej lub mniej platonicznego. Należy myśleć konkretnie, dostrzegać konkretne potrzeby i konkretne możliwości ich zaspokojenia. **Roman Lutman** w specjalnym numerze „Dziennika Zachodniego"; wydanym w rocznicę wyzwolenia, omawia „osiągnięcia i niedomagania nauki" na Śląsku (ściślej: w województwie śląsko-dąbrowskim). Lutman przedstawia zwięźle stan faktyczny, który — przyznać trzeba niestety — odbiega od wyobrażenia, jakie urobiły w nas ogólnikowe opinie o rozwoju żywego ośrodka kultury w Polsce Zachodniej. Okazuje się, że postulaty uważaliśmy za realizacje.

I tak starania o otwarcie uniwersytetu nie dały rezultatu, a istniejące dwie uczelnie wyższego typu nie posiadają praw akademickich. Nowoutworzona zaś Politechnika Śląska, „pracująca w środowisku górniczo-hutniczym, nie posiada ani wydziału górniczego, ani wydziału hutniczego. Młodzież tutejsza nie będzie nadal mogła studiować w tych dziedzinach, do których przeznaczają ją warunki".

Cytując głos publicysty śląskiego wstrzymujemy się od komentarzy. Zdajemy sobie bowiem sprawę z trudności, które istnieją nie mniej obiektywnie niż braki. Szczupłość sił naukowych, jakimi rozporządzamy, hamuje realizacje najlepszej intencji i naśmielszej inicjatywy. Lecz sprawą naprawdę przykrą jest niedbalstwo i opieszałość czynników miejscowych, tak społecznych jak i państwowych. Fakty podawane przez Lutmana w związku z niemożliwością uruchomienia bibliotek publicznych w Katowicach i Bytomiu są wymowne:

„Śląskiej Bibliotece Publicznej, znajdującej się w gmachu specjalnie dla niej zbudowanym przed wojną, nie zwrócono wszystkich koniecznych pomieszczeń, które zajęto pod szumną nazwą „Wojewódzkiego Domu Kultury" na cele drugo-, a nieraz czwartorzędne. Odpowiednikiem tego losu biblioteki katowickiej jest opłakany los biblioteki w Bytomiu, która przez drugą już zimę pozostaje nieoszklona, wskutek czego zbiory jej ulegają dalszemu zniszczeniu, mimo że Ministerstwo Odbudowy na czas wyznaczyło odpowiedni fundusz na oszklenie. Fundusz ten jednak w wysokości 100.000 zł utknął w kasie zarządu miejskiego w Bytomiu."

Sprawy wydawałoby się drobne, lecz od nich przecież zależy rozwój kulturalny Ziem Odzyskanych. A jeśli pomyśleć, że podobnie dzieje się lub działo się przed niedawnym jeszcze czasem w ośrodkach o starych tradycjach życia umysłowego...

Na tym poziomie organizacji kulturalnej, na którym się znajdujemy, są naprawdę godne najwyższego podziwu wysiłki, jakie ludzie sztuki czynią, by kultura w Polsce żyła. Przeglądając prasę literacką, społeczno-literacką, spotykamy problemy, których „cienkość" omówienia jest niezwykła, jeśli się weźmie pod uwagę warunki życiowe autorów. Pomyśleć, jaki byłby poziom prac publikowanych i jaki byłby ich społeczny rezonans, gdyby organizacja kultury odpowiadała wymaganiom, jakie się przed sztuką, przed literaturą stawia...

Czas już chyba największy, aby ktoś odpowiedzialny uświadomił sobie to, że płaca, jaką literat otrzymuje za poważny artykuł krytyczny, czy utwór artystyczny, wymagający studiów i pracy trzech do czterech tygodni, starczy w najlepszym, ekonomicznie wypadku (gdy autor nie ma rodziny) na wyżywienie w ciągu dni dziesięciu. Autor najwspanialszego poematu nie przeżyje zań nawet dni trzech. Trzeba, by ktoś uświadomił sobie, że opieka istniejącego przecież Ministerstwa Kultury i Sztuki ogranicza się do wskazań dydaktycznych, formułujących zadania społeczne pisarza. A przecież nie po to tylko jest się pisarzem, by rozwiązywać urzędowe zadania. Chyba, że urzędnicy ministerialni będą odrabiali lilteraturę. Dobór tych urzędników wzbudza coraz większe zaufanie. Coraz więcej literatów opuszcza swoje biurka, by się zainstalować w biurach ministerstwa. Może przyszłość przedstawia się istotnie różowiej, niż myślimy. Może powstaną jakieś arcydzieła z dziedziny fantazji organizacji kultury. Może np. kartki żywnościowe przyznane literatom z taką wspaniałomyślnością posiądą nagle wartość realną i ludzie uczeni w piśmie przestaną przeżywać naiwne rozterki z powodu stosunku nie ich do rzeczywistości, lecz rzeczywistości do nich.

To są sprawy poważne i bez przesady bolesne.

Nie ma jednak zagadnienia bardziej absorbującego współcześnie niż zagadnienie pokolenia, które formowało swój umysł i wyobraźnię podczas minionej wojny. W jakim stanie wyszło ono z wojny? Jak ustosunkowuje się do poprzedzającego je dwudziestolecia? Jak pojmuje swój udział w odrodzonym życiu kulturalnym?

Pewną, raczej między wierszami ukrytą, odpowiedzią na te pytania jest artykuł **Romana Bratnego** w „Życiu Literackim" pn. „Epoka". Artykuł nie jest wolny od megalomanii, lecz to już sprawa osobista autora. Nas interesuje zagadnienie. Bratny, który pozostawał w pewnym kontakcie z warszawską konspiracyjną grupą poetycką „Sztuka i Naród", przedstawia historycznie oraz ideologicznie tych młodych utalentowanych twórców, których entuzjazm był tak wielki, że się w nim spalili. Artykuł jest ciekawy przez to, że oddaje pogmatwanie ideowe oraz uwarunkowane wojną barbarzyństwo kulturalne z jednej strony, a z drugiej — powagę i odpowiedzialność wobec życia tych poetów i krytyków, których nazwiska pozostaną w naszej literaturze tragicznymi zapowiedziami niemożliwych spełnień.

Ci młodzi chłopcy: Bojarski, Borowski (jedyny z grupy, który przeżył i który po ewakuacji z obozu oświęcimskiego przebywa obecnie na zachodzie, oczekując możliwości powrotu), Gajcy, „Łomień" i „Chmura" przeżyli w skrócie, w pośpiechu życie bogate w nadzieje i w nie mniej wielkie rozczarowania. Oni w izolacji (fragmentarycznie i przypadkowo nawiązywali kontakt ze starszymi) usiłowali wypracować własną nie ideologię artystyczną tylko, lecz postawę wobec rzeczywistości w ogóle. Trzeba przyznać, że mieli najbardziej niesprzyjające warunki ze wszystkich jakie są możliwe. Życie zmuszało ich do czynu. Przez czyn tylko mogli istnieć, on ich w ważności ich życia utwierdzał. Z jakimż uczuciem beznadziejności czytamy dziś cytowany przez Bratnego zwrot z poetyckiej piosenki bojowej ułożonej przez Bojarskiego („Widzę nawet szybki łzawe, twój policzek, a ja nie chcę, moja miła, wolę bić się..."!

Nic dziwnego, że ci poeci-żołnierze konspiracji często wyrażali się nonszalancko. Lecz czyż nonszalancji nie usprawiedliwiała łatwość, z jaką życie swoje oddawali? Jeden z nich, krytyk ze „Sztuki i Narodu", tak pisze o utworach poetyckich swego kolegi: „Autor jest zbyt zajęty śmiercią i życiem otaczającej go rzeczywistości, by przejmować się poczciwymi kłopotami poetyckiej rodziny". Wydaje się, że w sądach o przeszłości, w ocenie dwudziestolecia ujawnia się nonszalancko ich sumienie czułe tak samo na patos, jak i na nikczemność rzeczywistości. Takie wyznanie, choć niezdarnie wyrażone, ma przecież swój ciężar gatunkowy:

„Młode tworzące się teraz pokolenie twórcze odwraca się z niechęcią od dorobku literatury międzywojennej ze względu na tamtą moralność artystyczną obcą czasom dzisiejszym. Zagadnienie odpowiedzialności autora dzieła w stosunku do jego odbiorców, zagadnienie stawianych postaci usprawiedliwionych społecznie i artystycznie, sam stosunek do sztuki pozbawiony powagi i kapłaństwa — oto fragmenty niezauważonych w dwudziestoleciu dzisiaj problemów".

Zagadnienie pokolenia, którego pogląd na świat formował się w czasie okupacji, jest jednym z najbardziej ważnych kulturalnie. Dalsze kształtowanie jego, prostowanie, urabianie — zależne jest przede wszystkim od właściwego poznania tej młodzieży. Z tego powodu artykuł Bratnego jest ważny.

Styczniowy zeszyt „Życia Literackiego" (w którym się artykuł Bratnego ukazał) jest najlepszym ze wszystkich dotychczasowych. Jest żywy problematyką, od której dotychczas pismo to stroniło. Dyskusję wywoła na pewno artykuł **Jastrząba.** Jastrząb polemizując z Sandauerem wytacza działa wszystkich kalibrów (dowcip, zręczność) w obronie praw do życia idealizmu filozoficznego. Ciekawe są również spostrzeżenia **Bąka** o stosunku współczesnego widza i krytyka teatralnego do Zapolskiej. Bąk broni Zapolskiej przed uproszczoną interpretacją jej dramatów.

Sprawa właściwego stosunku do dzieła sztuki, sposób jego podania publiczności, mają dzisiaj wagę specjalną z tego powodu chociażby, że tworzy się nowa warstwa konsumentów. Przy upowszechnianiu kultury trzeba uważać, by smaku nowych odbiorców sztuki nie zepsuć. Tym bardziej, że środki upowszechniania są coraz potężniejsze. Świetlice, domy kultury, rozbudowująca się radiofonia polska. A społeczeństwo wygłodzone kulturalnie przez lata wojny samo po dzieła sztuki również sięga. W upowszechnianiu sprawa „jak" nie jest sprawą błahą.

Wszyscy, którzy mają związek z techniką podawania utworów, utworów poetyckich w szczególności (kierownicy świetlic, aktorzy i recytatorzy przede wszystkim) winni zapoznać się z artykułami **Juliana Przybosia** („Afisz Starego Teatru") i **Heleny Wielowieyskiej** („Radio i Świat").

Przyboś wypowiada się na temat „jak mówić wiersze". Sprawa ważna nie tylko w odniesieniu do poezji współczesnej. Dziś wrażliwość nasza, wysubtelniona na sztuce nowoczesnej, reaguje negatywnie na wszelkie próby uprawiania recytacji tromtadrackiej lub naturalistycznej. Stare, oklepane sposoby recytacji (modulowanie głosu, przesadne onomatopeizowanie) kieruje uwagę słuchacza na „grę" (jakżeż często po prostu zgrywanie się) recytatora, a tym samym zabija wzruszenie w utworze zawarte.

„Życzenie poety skierowane do recytatora" — pisze Przyboś — „nie trudno odgadnąć: by mówił tak, **jak mówi czowiek wzruszony, gdy mówiąc, opanowuje wzruszenie.** Opanowuje po to, by jego szczerość przekazać w słowach pełnych precyzji".

Uzupełnieniem uwag Przybosia jest wypowiedź Heleny Wielowieyskiej, która określa, jaką wartość posiada skupienie dla pełnego odbioru utworu poetyckiego. Wielowieyska zwraca uwagę na rolę mikrofonu w kształtowaniu wrażliwości słuchacza i czytelnika poezji. Wiersz słuchany przez głośnik radiowy zwraca się wprost do wyobraźni omijając roztargnienie wzroku słuchacza patrzącego na recytatora. W ten sposób powstaje niezamącenie wizja wiodąca do wzruszenia najbliższego intencji poetyckiej utworu.

W związku z „Afiszem Starego Teatru", który pod redakcją **Wojciecha Natansona** dobrze się rozwija i sięga do tematyki interesującej ogół kulturalny, należy wyrazić nadzieję, że pismo to, skromne lecz jedyne obecnie poświęcone teatrowi, nie zostanie w przyszłości ścieśnione do wąskich ram popularyzowania repertuaru Starego Teatru. Wydaje się nam, że właśnie w interesie Starego Teatru powinno leżeć posiadanie trybuny obiektywnej i ważkiej. Sprowadzenie „Afisza" do roli ulotki reklamowej pozbawi go po prostu czytelników a tym samym i racji istnienia.

zb

Z przeżyć i walk

Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944. **Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944.** Pod redakcją dra **Zygmunta Klukowskiego.** T. II. Zamość 1946; Str. 196 i 4 nlb.

Tematyka tomu pierwszego omówionego w nr 48 „Odrodzenia" — wspomnienia z więzień, obozów i akcji wysiedleńczej w Zamojszczyźnie — utrzymuje się częściowo i w tomie drugim. Lecz opowiadania te ustępują już zdecydowanie miejsca nowym wątkom, wśród których na pierwszy plan wysuwają się wspomnienia z walk rosyjsko-niemieckich w roku 1944, partyzantki i dywersji. Przemówili „chłopcy z lasu" dając opisy akcyj i sabotażów, zrywania mostów, niszczenia budynków stacyjnych, wież ciśnień, wysadzania pociągów i walk w lesistym terenie Zamojszczyzny. Artykuły pisane są widocznie przez b. członków AK, lecz autorzy również wspominają często o AL, Gwardii Ludowej i partyzantach radzieckich.

Wychodzi na jaw prawdziwy, niezaciemniony przez nieprzejednaną propagandę nastrój. „Polskie oddziały początkowo zajęły stanowisko wyczekujące. Potem siłą rzeczy musiało nastąpić zbliżenie. Żołnierze radzieccy potrzebowali przewodników, informacji, żywności. Dowódcy ich zwiedzali polskie obozy, składali wizyty. Ppor. W. w dowód uznania za pracę otrzymał od pułkownika radzieckiego pepeszę z odpowiednim napisem na metalowej tabliczce. Poczem zapanowała całkowita zgoda". Tak pisze st. strzelec Marek w świetnym, niepozbawionym zalet literackich szkicu „Z wrażeń i przeżyć szeregowca, partyzanta w lasach biłgorajskich". Autentyście obcy jest fałsz: „Upływają godziny. Może jest ósma, może dziewiąta. Przychodzi nowina, że „sowieci" chcieli przedzierać się dzisiejszej nocy, ale zostali odparci. Po pewnym czasie przejeżdżają drogą jacyś konni, jadą tabory, idą mężczyźni uzbrojeni w pepesze, są również i kobiety. Wszystko wali w kierunku, z któregośmy wczoraj przyszli. Są to „sowieci". Jacyś ich oficerowie rozmawiają z naszymi dowódcami. Może radzą o wspólnym przebijaniu się? Daj to Boże. Żołnierze z nich pierwszorzędni i z fantazją".

Zasługuje też na uwagę urywek pamiętnika starosty powiatu zamojskiego w dniach wrześniowego pogromu. Z ziarnek porozsiewanych w autentycznych wspomnieniach zbiera się z czasem miarka prawdy: o nieprzygotowaniu do spodziewanej napaści niemieckiej, popłochu rządzącej góry, niewiarogodnym rozprzężeniu i demoralizacji. Np. prezydent Mościcki w otoczeniu adiutantów i domu wojskowego, wraz z zamkowym batalionem, 800 urzędnikami i ich rodzinami, kancelarią cywilną, lokajami, woźnymi i zamiataczami ogrodu belwederskiego w dwu pociągach zjechał do Krasnobrodu. 30 tysięcy samochodów przejechało przez Zamość wiozące umykających. „Widziałem ich oczy przerażone, ich grymas zniecierpliwienia, by wyżebrać u starosty parę litrów benzyny na dalszą drogę, byle na wschód".

Później zaś zaprzaństwo. Stefan Miler („W jaki sposób nie zostałem Volksdeutschem") z własnych przeżyć wyniósł przeświadczenie, że „kto chciał mógł oprzeć się" — i nie wierzy w przymuszanie. „Tylko, że ludziom żal było stracić dobrobyt materialny, albo też po prostu zalękli się(!) i dla świętego spokoju poddali się namowom". Więc ze społecznych wierzchów: magistrzy farmacji: Marian Suchański i Leon Czerwiński, komisarz ziemski inż. Stefan Sekułowicz, dr med. Witold Gumiński, b. oficer W. P., potem gestapowiec Gąsecki, prezes sądu okręgowego Cybulski. W widocznym dążeniu do wiernego odtworzenia wszystkich stron życia w okresie okupacji, zamieszczono wstrząsający szkic Stanisława Bohdanowicza „Likwidacja Żydów w Zwierzyńcu", w którym utrwalona jest ustna tradycja o niewyjaśnionej jeszcze podówczas, ale odgadywanej tajemnicy strasznego Bełżca.

Tę jednolitość książki naruszają dwa ustępy poświęcone łąkarstwu i pracom melioracyjnym w powiecie zamojskim w czasie okupacji niemieckiej i wązki artykuł inż. Eugeniusza Tora, który opowiada dzieje ratowania i ocalenia „Hołdu pruskiego" Matejki.

Przewity redaktor materiałów dr Klukowski nie ustaje w poszukiwaniu wzorowego systemu i metody wydawniczej.

Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie. Nr. 2. **Gusta Dawidson-Draengerowa.** Pamiętnik Justyny. Kraków 1946; str. 116 i 4 nl.

Wedle Józefa Wulfa, którego wstęp poprzedza „Pamiętnik Justyny", początki Żydowskiej Organizacji Bojowej, zawiązanej w ghetcie krakowskim, sięgają grudnia 1941 roku, akcja zaś jej — w porozumieniu z frakcją PPR — trwała do listopada 1943 roku. Wtedy to przepadł Szymszon Draenger i jego żona Gusta — „Justyna". Przebywając od stycznia do kwietnia 1943 roku w więzieniu krakowskim przy ul. Heleców (z którego zdołała umknąć) — 25-letnia uczestniczka akcji bojowej pisała na toaletowym papierze pamiętnik, bądź dyktowała któremuś współwięźniowi. Ten osobliwy rękopis autorka włożyła do blaszanego pudełka i ukryła w piecu.

Zbieg okoliczności bliżej niewyjaśnionych przez wydawców sprawił, że zachowany został obszerny dokument psychologiczny, który obecnie ogłoszono drukiem. Na ponurym tle dziesiątków tysięcy zamkniętych w żywym grobie, wybieranych na śmierć partiami, katowanych i głodzonych, ryzuje się pa zdecydowana do walki i prowadząca ją z bronią w ręku. Zjawisko rewolucyjnych przeobrażeń psychicznych, które z dzieci mieszczańskich zrobiły ludzi zdeterminowanych, odpowiadających gwałtem na gwałt, zdobywających środki w nieokreślony sposób, utrwalone zostało przez Justynę bez świadomego zamiaru, z tym wyraźniejszym za to pogłębieniem psychologicznym. Pośrodku żywiołowego zniszczenia i nieszczęścia zwarty zastęp młodych mężczyzn i kobiet związanych ideą utrzymywał swój punkt w domu przy ul. Józefińskiej 13. „I tak spotykali się wszyscy miejscowi z przyjezdnymi; tacy, którzy od lat przebywali razem i tacy, co od lat do siebie tęsknili. Nie wiadomo doprawdy, skąd się w tych znękanych ludziach wzięło tyle radosnego uczucia. Kto wie, może musieli wykrzesać z siebie tyle miłości, w tragicznym przeczuciu, że z chwilą opuszczenia domu, tu, pod trzynastką, opuszczą ostatnie w życiu gniazdo rodzinne".

Wrażliwa Justyna krótko żyła, lecz dusza jej dojrzała w wysokiej temperaturze grozy i trwałym stanie śmiertelnego napięcia, jak owoc jabłoni od pożaru strzechy. Widziała jasno przyszłość i prawdę ostatnich dni swoich i przyjaciół. Zginęli niemal do jednego, jak stwierdza Bernard Joannes w podzwonnym dla Justyny.

Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie. **Dokumenty zbrodni i męczeństwa.** Nr 1 (Kraków, 1945; str. 2 nl. i XVI i 214 i 8 nl.).

Z górą 100 świadectw z 20 obozów koncentracyjnych przymusowej pracy i obozów zniszczenia z 24 miast i miasteczek i osobno jeszcze 22 opowiadania młodzieży i dzieci ocalałych z pogromu.

Zeznają mężczyźni i kobiety, o różnym poziomie wykształcenia i inteligencji, różnego stanu społecznego i zawodu od adwokata do dorożkarza. Ludzie w starszym wieku, dojrzewające dziewczęta i chłopcy, a nawet 8-letnia dawczyni krwi i 9-letni właściciel trzech numerów obozowych, w tym jednego wytatuowanego na lewej ręce.

Są wszystkie rodzaje dyskryminacji, męki i śmierci: akcje, selekcje, wysiedlenia, wywózki, łapanki, kary, normy pracy niewolniczej, tortury, głód, szubienice, zabawy zwyrodnialców i orgie, ekshibicjonizm, sadyzm, ludożerstwo, komory gazowe, drgające mogiły, palenie żywcem, eksperymenty „naukowe" (kastracja, zagryzanie przez psy, karmienie zwierząt cyrkowych ciałami dzieci, samobójstwa, tańce na tłuczonym szkle, bunty, powstania, ucieczki, tułaczka — groza nie mająca równej sobie w dziejach rodzaju ludzkiego.

Było widać intencją wydawców dać raczej szeroki wachlarz faktów niż dokładnie opracowany materiał. Niektóre ustępy stanowią urywki zeznań o wyjątkowej oryginalności lub szczególnej ekspresji. Odbija się to ujemnie na dowodowej treści, zwłaszcza, że metoda wydawnicza nie uwzględnia — na razie niezbędnych informacyj o zeznających i objaśnień dotyczących miejscowości i czasu wydarzeń, czyli tak zwanego przekazu. Jedyny żywy świadek strasznej tajemnicy obozu zniszczenia w Bełżcu, Rudolf Reder, opowiada o komorach gazowych, lecz jego świadectwo, bezcenne, musi podlec sprawdzeniu i bardziej szczegółowemu opracowaniu przez fachowców. Metoda zeznań (głównego źródła historycznej informacji), na których polega książka i jak można przypuszczać dalsze publikacje, wymaga takiego opracowania, aby dała instrument naukowo odpowiedzialny, pod każdym względem krytycznie wypróbowany.

„Dokumenty zbrodni i męczeństwa" zawierają interesujący materiał do oświetlenia spraw polsko-żydowskich. „Przez okno tramwajowego wozu" widział niewymieniony z nazwiska Polak pogrom na Podgórzu i sceny na Placu Zgody. „W tramwaju panowała cisza mrożąca krew. Na twarzach kobiet i niektórych mężczyzn widziało się łzy, a dzieci tuliły się do nóg starszym osobom i aby nie słyszeć, zatykały uszy paluszkami. Jak długo żyć będę, momentu tego nie zapomnę". „Tatuś poprosił kierownika polskiego i ten dał nam pracę w szatni, tam była lżejsza praca, zamiataliśmy, sprzątali, palili w piecu" (Skarżysko). „Próby dostarczenia nam wody przez litościwych ludzi w Gródku (Jagiellońskim) okazały się daremne, konwojenci nie pozwolili na podanie wody". Przygotowujący bunt pracownicy komór gazowych w Brzezince dostali granaty ręczne od Polaków, których transport przyszedł w styczniu (roku?). „Mówili, że to z jakiegoś powstania". W Gross-Rosen „Polacy, którzy pracowali przy wyładowaniu kamieni wołali, byśmy dawali im chleb, ponieważ nam i tak wszystko zabiorą. Więc zaczęliśmy rzucać w ich kierunku chleb. Widząc to SS-mani śmiali się szyderczo i wykrzykiwali: dziś macie dużo chleba, ale jutro będziecie zdychać bez niego".

Wielokrotnie wspominani są chłopi, u których prześladowani znajdowali schronienie. „Tato już wtedy chciał koniecznie znaleźć jakieś miejsce, żeby się można schować; umówił się z jednym polskim chłopem na Łęgach nad Dniestrem, w całkiem odosobnionej chacie". 9-letnia Halina Hofman odbyła wędrówkę po obozach z polską rodziną. „Niektóre dzieci przezywały mnie i wołały na mnie Żydówka, ale Anda krzyczała, że jestem ich kuzynką i nazywam się tak samo H. jak oni".

Wystarczy którykolwiek, na chybił-trafił wybrany ustęp lub zdanie z okropnej książki, aby skazać wszystkich norymberczyków.

Na mokre łąki pod Słomnikami spędzono około 10 tysięcy ludzi. „Było wiele wypadków porodu. Na krzyki rodzących podbiegali SS i rodzące kobiety bili pałkami do krwi". W więzieniu w Czortkowie grzebano trupy na podwórzu. „Z dołu dochodziły głosy: „Jeszcze żyję, jestem tylko ranny, nie zasypujcie mnie". Grób mimo to zasypano i zacementowano". „Teraz jest mi już trochę lepiej, ale były chwile, wtedy kiedy się ukrywałem, że budziłem się w nocy i nie mogłem sobie przypomnieć, jak było na imię mamusi" (Adam Landesberg, 15 lat).

Rozmiary zbrodni niemieckiej dokonanej na narodach Europy, a zwłaszcza na Żydach, Rosjanach i Polakach (taka jest kolejność w ilości ofiar), rozsadzają pojęcia prawa, paraliżują normalny odruch poczucia etycznego. Zerwanie wszelkich proporcji ilościowych i jakościowych powoduje bezradność, przyprawia o niemoc psychiczną. Bezsilne, naiwne i śmieszne wydają się normy prawne i urządzenia proceduralne, wyroki sądowe, kary i sposoby ich wykonania. Stąd powszechnie odczuwana wątpliwość, a nawet niechęć do trybu stosowanego w procesie 22 norymberskich zbrodniarzy, którym dowodzi się dziesiątków zbrodni, gdy ich liczba idzie w miliony. Tylko racjonalna refleksja może uzasadnić sens organizowania procesów i wywołać zrozumienie ich racji i pożytku.

Bardzo ważna akcja wydawnicza Komisji Żydowskiej w Krakowie wymaga ulepszenia i pogłębienia w wielu kierunkach Do zalet techniki wydawniczej należy dodany do książki słownik wyrazów obozowych i ghetta. Okupacyjny żargon niemiecki podano w tekście kursywą. Zeznania noszą tytuły nadające książce przejrzystość, jest również indeks osób i miejscowości. Brak natomiast spisu rzeczy.

Utrzymanie inicjatywy gromadzenia i ogłaszania materiałów jest niezbędne, jeżeli doniosłe zadanie utrwalenia historycznych świadectw o rzezi żydowskiej ma zostać spełnione.

Js

Z dziedziny prawa

Z ZAGADNIEŃ PRAWA WOJNY

Józef Giebułtowicz. Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów. (Kraków), „Czytelnik", 1945; str. 124.

W interesującej pracy próbuje Giebułtowicz omówić dotychczasowe wysiłki w kierunku skodyfikowania prawa narodów, ujęcia w legislacyjne ramy dziedziny stosunków międzypaństwowych z całą ich rozległą i sporną problematyką czasów pokoju, a w szczególności czasów wojny. Prawo to — w przeciwieństwie do wewnętrznych praw poszczególnych organizmów państwowych — nie jest jeszcze ujęte w ścisłe i niewątpliwe normy. Jest to zresztą przy obfitości zagadnień rzeczą trudną a być może nawet niemożliwą w dotychczasowym stanie anarchicznego braku odpowiedzialności państw będących właściwie — przynajmniej do ostatniej wojny — rynkiem zbytu czy eksploatacji prywatnych interesów. Giebułtowicz wymienia poszczególne etapy tych wysiłków, które — jak dotąd — nie doprowadziły do stworzenia jednego międzynarodowego kodeksu cywilnego czy karnego, jednej procedury i jednych, wspólnych organów sądowniczych i wykonawczych. W praktyce mogłoby to stać się dopiero w wypadku wyłonienia się z oparów nienawiści jednej bratniej wspólnoty narodów, co na razie może być tylko materiałem dla fantastycznych romansów utopistów.

W obecnym stanie rzeczy istnieje cały szereg traktatów, konwencyj i deklaracyj, które regulują kwestie dotyczące międzynarodowego współżycia, w szczególności zaś zagadnienie wojny. Z tych wszystkich najszerszy zakres i najbardziej zasadnicze znaczenie ma IV konwencja haska z 1907 roku, z jej podstawowym określeniem zasad prawa narodów, „które wynikają ze zwyczajów ustalonych między narodami cywilizowanymi, z praw ludzkości i postulatów sumienia międzynarodowego". Ogólnikowość tego określenia — przy braku dostatecznej ilości innych konkretnych norm i paragrafów — mogłaby wywołać sceptycyzm, czy w ogóle na tego rodzaju chwiejnej i relatywnej podstawie da się stwierdzić, kogo uznać za „przestępcę wojennego" i ustalić zakres jego odpowiedzialności. Giebułtowicz sceptykiem nie jest. Wnioski jego, oparte na starannej interpretacji dotyczących postanowień, przy uwzględnieniu naszej istniejącej na ten temat literatury (Ehrlich, Grzybowski, Stefko i in.), pozwalają przyjąć pewne obiektywne kryteria przestępczości wojennej, jej rozmiarów, sposobu jej ścigania i charakteru władz do tego ścigania i sądzenia powołanych. W tym świetle liczne procesy, które się odbywały i odbywają u nas i w całej Europie (z Norymbergą na czele), nie są bynajmniej w maskę prawa przybranym aktem politycznego gwałtu ze strony tryumfujących zwycięzców, lecz wyrazem obiektywnej sprawiedliwości prawnej w przewidzianych proceduralnie ramach.

Źródłowa praca Giebułtowicza może być pożytecznym kompendium dla zorientowania się w pewnych stronach omawianych zagadnień. Zarzucić by jej można jednak mało nowoczesne ujęcie istoty prawa i tego wszystkiego, co pod pojęciem tym się kryje. Prawo narodów — jak i jego dział: prawo wojny — stanowi dla autora jakby abstrakcyjną wartość, rozpatrywaną w oderwaniu od gospodarczego i społecznego ustroju, przy zapoznaniu funkcji socjalnej jako odbicia układu sił ekonomicznych. Przy tej idealistycznej metodzie badawczej wiele ciekawych spraw poruszonych przez autora zostaje tylko opisanych ale nie poznanych.

PRÓBA BILANSU

W lipcu 1945 minął rok od czasu wydania Manifestu PKWN, który położył podwaliny ideowo-programowe **Demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej.** Próbę bilansu dokonanych w ciągu tego roku osiągnięć z dziedziny organizacji prawnej i sądowej nowej państwowości przeprowadza opracowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości wydawnictwo „Wymiar sprawiedliwości w odrodzonej Polsce 22. VII. 1944 — 22. VII. 1945", stanowiące zbiór publikacyj przedstawicieli najwyższych władz państwowych.

Dokonywanie bilansu tak krótkiego stosunkowo okresu czasu jest sprawą dość niebezpieczną. Z natury rzeczy okres taki niczego jeszcze zasadniczego rozwiązać ani stworzyć nie może — i dlatego jego bilansowanie grozi popadnięciem w łatwy i papierowy apologetyzm, w podstawianie „krzepiących ducha" ogólników w miejsce istotnych, trudnych jeszcze do osiągnięcia zdobyczy. Wspomniane wydawnictwo tych niebezpieczeństw unika. Poza niewielką tylko ilością prac odznaczających się nieco pustą retoryką — reszta zaznajamia nas z ważnymi i rzeczywistymi dokonaniami w tym czasie. Seweryn Szer omawia istotną demokratyzację, która — drogą ustawodawczą — przekształca nasze życie gospodarcze. A więc podstawowe dzieło reformy rolnej, dekret o zagospodarowaniu użytków rolnych, wprowadzający przymus zagospodarowania gruntów nadających się pod uprawę rolną z tą sankcją, że w razie ich niezagospodarowania przechodzą one w użytkowanie gromady. Dalej wprowadzenie instytucji rad zakładowych, dzięki której szerokie masy robotnicze, za pośrednictwem swoich reprezentantów, biorą udział w organizacji i kierownictwie życia gospodarczego. Jerzy Sawicki zapoznaje z metodologicznymi podstawami prawa sądów specjalnych, których stworzenie jest jednym z najznakomitszych osiągnięć prawniczej myśli polskiej, gdyż problem ten — z pogranicza prawa narodów i prawa karnego — był bez precedensu i wymagał niemal zupełnie nowych sformułowań. W każdej dziedzinie życia prawnego Odrodzonej Polski, czy to będzie sądownictwo wojskowe, czy organizacja sądownictwa cywilnego, czy problem adwokatury, miniony rok założył fundamenty mocnego, bo na szerokich podstawach społecznych opartego gmachu naszej państwowości, o czym rzeczowo informują sprawozdawcy.

Załączony na końcu schemat organizacji sądów i prokuratur na terenie państwa — dowodzi, że w Ministerstwie Sprawiedliwości pracuje się planowo i buduje się metodycznie przyszły ustrój sądowy i prawny. Do wykończenia tej budowy, rzecz prosta, jeszcze daleko, o czym poucza zbyt częsta litera „n" przy nazwach władz i urzędów oznaczająca, że dany urząd nie jest jeszcze — a raczej, nie był w dniu 1. VII. 1945 — uruchomiony. Odnosi się to szczególnie do nowoodzyskanych ziem zachodnich. Fakt ten dowodzi, że sprawa organizacji wymiaru sprawiedliwości na tych terenach przedstawia się stosunkowo najgorzej i można uważać za pewien niepokojący brak omawianego wydawnictwa, że sprawę zakładania podwalin pod strukturę prawną naszych ziem zachodnich pomija zupełnym milczeniem.

Henryk Vogler

Cierpienia Himmlera

Hrabia F. Bernadotte, członek szwedzkiej rodziny panującej, wydał pół roku temu nakładem firmy Marguerat w Lozannie głośną książkę pt. „Koniec" (La fin), w której opisuje swe wrażenia z pobytu w Trzeciej Rzeszy na krótko przed kapitulacją (luty, marzec, kwiecień 1945). Autor, z tytułu swych funkcji prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, odbył szereg rozmów z czołowymi osobistościami reżymu, u których szukał poparcia w sprawie uwolnienia skandynawskich więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych. Stosunek członka szwedzkiej dynastii do największych przestępców ludzkości musi wydać się zdumiewający czytelnikowi, który przeżył okupację, i rzuca ciekawe światło na psychologię Europejczyka, który tej okupacji nie zaznał. Hr. Bernadotte zdaje sobie sprawę ze zbrodniczości osób, z którymi odbywał rozmowy w czasie swego pobytu w Berlinie; stwierdza to niejednokrotnie. Czytelnik odnosi jednak wrażenie, że autor potępia opisywane postacie w sferze raczej teoretycznej i że osobiście nie potrafi uwolnić się od przekonania, iż ma do czynienia z ludźmi zabłąkanymi, których skrzywiły moralnie okoliczności i wpływ szatańskiej, na wpół mistycznej postaci Führera.

Oto wiązanka refleksji Bernadotte'a na temat osobowości Himmlera, którego uważa za tragicznego przedstawiciela dramatu Trzeciej Rzeszy:

„Kiedy pojawił się nagle przede mną, w swych rogowych okularach, w zielonym mundurze SS bez odznaczeń, uczynił na mnie wrażenie drobnego urzędnika. Miał małe ręce, wrażliwe, delikatne i dobrze utrzymane. Okazał się uderzająco uprzejmy i skłonny do dobrodusznych żartów, czasem z odcieniem pewnej niesamowitości. Często rzucał dowcip, aby ożywić atmosferę. Jego wygląd nie miał nic diabolicznego i nie zauważyłem twardego chłodu jego spojrzenia, o którym tyle mówiono. W ciągu rozmowy Henryk Himmler okazał się osobistością niezwykle żywą, uczuciową w stosunku do Führera i zdolną do wielkiego entuzjazmu... Czy to obawa losu, który go czekał, czy uczuciowość, czy wreszcie sympatia dla człowieka, który ośmielił się wyrazić bez ogródek swe przekonania, sprawiły, że (Himmler) interweniował na rzecz prof. Seipa, rektora uniwersytetu w Oslo, jednej z najwspanialszych postaci oporu norweskiego. Himmler uwolnił go z obozu, przeprosił za brutalne metody, które tam stosowano, ofiarował mu możliwości pracy naukowej w Niemczech i zapewnił takie same warunki, jak na uniwersytecie w Oslo. Seip oświadczył mi, że uważa Himmlera za swego rodzaju idealistę, żywiącego dla krajów północnych wybitną sympatię... Mogę stwierdzić, że w tym czasie (marzec 1945) był on (Himmler) jeszcze w ścisłych stosunkach z Hitlerem. Przynajmniej zapewniał o tym, podkreślając swą lojalność wobec wodza: „Uzna pan to za sentymentalne lub śmieszne, ale złożyłem przysięgę Adolfowi Hitlerowi. Jako żołnierz i jako Niemiec, nie mogę jej złamać. Oto dlaczego nie jestem w mocy wydawać zarządzeń sprzecznych z życzeniami Führera"... Pytałem go, czy nie sądzi, że wśród Żydów, podobnie jak w innych narodach, istnieje szereg ludzi szlachetnych i sympatycznych. Nie ukrywałem przed nim, że wielu moich najbliższych przyjaciół to Żydzi. Ku memu zdumieniu przyznał mi słuszność. Zaznaczył jednak, że w Szwecji kwestia żydowska nie istnieje. Nie możemy więc zrozumieć niemieckiego punktu widzenia... Raz jeszcze przypomniałem mu o sprawie przewiezienia do Szwecji wszystkich więźniów skandynawskich. Himmler odparł, że osobiście nic nie ma przeciw temu, ale że jest to niemożliwe. Bez wątpienia krył się za tym cień Hitlera. Führer nie życzył sobie tego, a szef gestapo nie śmiał. Himmler: „Wiem, że za granicą uchodzę za najokrutniejszego sadystę wśród ludzi. Ale chcę powiedzieć jedno: nigdy nie łżyłem publicznie wrogów Trzeciej Rzeszy"— Alianci zamieścili w prasie opisy warunków życia w uwolnionych obozach w Buchenwaldzie i w Bergen-Belsen. Opisy zupełnie śmieszne, według zapewnień Himmlera, który tłumaczył mi, że aliancki czołg zapalił się w pobliżu obozu i alianccy oficerowie, myśląc, że stało się to na skutek strzałów niemieckiej załogi, dali rozkaz ostrzelania terenu obozu. Pewna liczba baraków stanęła w ogniu. Oto dlaczego alianci zastali tyle zwęglonych trupów. „To doprawdy oburzające" dodał Himmler, że obóz, według mego zdania bez zarzutu, stał się przedmiotem tak haniebnych opisów. Nic mnie tak nie dotknęło, jak publikacje prasy alianckiej w tej sprawie!"

W dalszym ciągu książki przytacza autor rewelacje szefa informacji politycznej SS, Schellenberga, który usiłuje roztoczyć wokół głowy Himmlera aureolę tragicznej ofiary, a przy okazji wybielić siebie. Hr. Bernadotte jest najwyraźniej wzruszony dramatem wewnętrznym szefa gestapo i czyni wszystko możliwe, aby go oczyścić w oczach ludzkości. Oto cytat ze zwierzeń Schellenberga, przytoczony przez autora: „Kierownicza warstwa Trzeciej Rzeszy była zepsuta i skorumpowana. Jedynym wyjątkiem był Himmler. Tylko on mógł stworzyć przeciwwagę dla szaleńczej polityki Hitlera i Ribentroppa".

Hrabia Bernadotte umieścił tę rewelację na końcu książki, zapewne jako wskazanie dla czytelników, którzy mogliby być innego zdania. Jest to charakterystyczny objaw tendencji, panującej w pewnych sferach Zachodu, aby odium za zbrodnie hitleryzmu zwalać wyłącznie na Hitlera i czynić z niego coś w rodzaju straszydła, którego przeląkł się dobry naród niemiecki. Kto żył w Polsce w latach 1939—1945, pamięta następstwa każdej wizyty Himmlera na terenie GG. Kto wie, czy Obergruppenführer Schellenberg nie towarzyszył mu w inspekcjach obozów w Oświęcimiu i Majdanku. Bernadotte pozwolił się zmistyfikować uprzejmością wodzów Trzeciej Rzeszy — uprzejmością anno 1945. Znamy tę uprzejmość z lat poprzednich. „Trzeba pomóc narodowi niemieckiemu i wywieść go na nowe drogi nie środkami nienawiści i brutalnej siły, lecz odwołując się do ludzi, dla których miłość przyszłości jest największą cnotą". Tak kończy członek dynastii szwedzkiej książkę, którą czyta cały świat.

kos

CZYTELNIK
NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ »CZYTELNIK«
CZYTELNIK

MIRA WIŚNIEWSKA
MARMOTEK Z GÓR
OPOWIEŚĆ GÓRSKA DLA MŁODZIEŻY
STR. 72 ZŁ. 60.—

WANDA WASILEWSKA
POKÓJ NA PODDASZU
TOMIK 5 „BIBLIOTECZKI MŁODEGO CZYTELNIKA"
STR. 128 ZŁ. 45.—

HENRYK SIENKIEWICZ
W PUSTYNI I W PUSZCZY
STR. 456 ZŁ. 120.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«
CZYTELNIK

„Jaś u raju bram" w Krakowie

„Komedia muzyczna wykazuje zdumiewającą długowieczność. Co za piekielna siła żyje w tym tworze, przez tysiąclecia pogardzanym, szczutym, zabijanym, że na przekór wszystkim katastrofom nie tylko trwa on, ale przemienia się, rozwija i kwitnie" — słusznie pisze Horzyca w dołączonych do programu prologomenach do „Jasia u raju bram", komedii muzycznej Mariana Hemara. I właśnie przyszła, uwzględniona w wywodzie Horzycy — katastrofa. Więc komedia muzyczna może **zakwitnąć** na nowo. Lecz aby się **rozwinąć**, musi najpierw się **przemienić**, musi najpierw znaleźć sobie nową formę. I znajdzie ją na pewno w naszych czasach, skoro w dawnych „zapłodniła nawet jałowe łono kultury osmańskiej", skoro 1) „stała niemal u kolebki teatru greckiego", 2) „nie dała się zabić gromowładnym słowom Jana Złotoustego", 3) „w białym płaszczu archimima przeszła z antyku do średniowiecza", 4) „już raz przeżyła wędrówkę ludów". Zatem przeżyje i drugą wędrówkę ludów. Zapewne już przemyciła się pod jakimś płaszczykiem i podobno daje już o sobie znać w Łodzi, gdzie mieści się Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Humoru Polskiego. Lecz tymczasem w Krakowie, w sali zasnutej pajęczynami w miejscach najbliższych sceny, (proszę nie brać tych pajęczyn za kwiaty retoryki, mówię bez przenośni), w wystudzonej sali Teatru Powszechnego (b. zimno) w Krakowie pokazano nam zwietrzałą komedię muzyczną, przedwojennego Hemara i przedwojennego „Jasia". Dawniej Hemar śmieszył żartami, uprzyjemniał czas głównie — dzięki nieporównanej muzykalności — piosenką. Gdyby Hemar był tutaj blisko, Hemar który właśnie celował w adaptacjach przestarzałych operetek, który przeniósł „Piękną Helenę" z drugiego cesarstwa w epokę sanacyjną, czyż wystawiłby tego „Jasia" z zamierzchłych lat pokojowych? Wątpliwe. Dziś patrzymy na to widowisko z tą samą obojętnością, z jaką w epoce Hemara był do oglądania „Baron cygański" sprzed pierwszej wielkiej wojny.

Bardzo nieprzekonywujące Hollywood, przedsiębiorca filmowy, którego każda minuta kosztuje 340 dolarów, kaprysy gwiazd filmowych, zdenerwowanie operatorów i reporterów, hrabiny hotelowe, niebieskie ptaki udające książąt, tajni agenci z francuska nazywani inspektorami policji, nazwisko „Moszkowicz" dawniej nieodzowne, dziś nie wywołujące tej satysfakcji na widowni, — to już wszystko nie bardzo czytelne i nie bardzo atrakcyjne. Ale to były wówczas znane rekwizyty z marzeń starych panien i pensjonarek. I to w operetce był sztafaż. I rzecz puszczana w zawrotnym tempie stwarzała na prędce egzotykę tego świata filmu i luksusu, służyła tylko za pretekst do dowcipów, nieoczekiwanych sytuacyj, piosenek i tańców, nucenia i gwizdania, kołysania się i poruszania w takt muzyki. Rzecz puszczona przez reżysera Zawistowskiego, który jednocześnie objął tytułową rolę, bardzo wolno i bardzo serio, realistycznie, w duchu charakterystycznej komedii, nowym nieporozumieniem do reszty popsuła zabawę, wyprodukowała figury papierowe i wydobyła z tej błahostki treść niesmaczną.

Dyrekcja teatru z Karolem Adwentowiczem na czele poucza publiczność słowami Horzycy, że „kto idzie na komedię muzyczną, musi rozum zostawić w domu", że w komedii muzycznej „wszystko ma czar dzieciństwa, czar nierozumu, czar raju", tymczasem reżyseria zrobiła wszystko, aby że sceny dał się słyszeć „tubalny głos rozumu". Obawa Horzycy, aby któryś z aktorów „nie oszalał i nie zaczął nagle przemawiać językiem powagi, językiem starości", sprawdziła się najdokładniej na **Zawistowskim,** uzbrajając nas w bezwzględność wobec reżyserii i kierownictwa teatru, które zdaje się nie rozróżniać rodzajów literackich. **Jabłonowska,** w głównej roli kobiecej, poddała się całkowicie kierownictwu. W fioletowej krynolinie przypominała znany obraz Czachórskiego; wydawało się, że jednym z powolnych ruchów, odchylając głowę, przechyli się do bukietu, który przyniósł jej jeune premier. Była też najbliższa atmosfery żywych obrazów z połowy XIX wieku. Operetkę zamieniła w melodramat.

Wacław Zwoliński, on jeden z całego zespołu, wiedział co to jest komedia muzyczna i na przekór reżyserii i dyrekcji pozostał nieprzejednany. Był szybki, zwinny, zabawny i w roli Tomka Pstryka zabłysnął prawdziwym talentem.

Adam Mauersberger

Koncert jubileuszowy Zbigniewa Drzewieckiego

Trzydziestolecie pracy artystycznej Zbigniewa Drzewieckiego obchodził świat muzyczny w Krakowie, gdzie artysta osiadł na stałe po powstaniu warszawskim jako rektor Wyższej Szkoły Muzycznej. Wielkiego odtwórcę i propagatora muzyki współczesnej, który stworzył równocześnie w Polsce nowy kierunek pedagogiczny, uczczono szeregiem przemówień i upominków. Udział w tym akcie wzięły nie tylko wszystkie muzyczne instytucje państwowe i społeczne, ale również Związek Literatów i Związek Plastyków jako pokrewne zrzeszenia artystyczne. Uroczystość transmitowana była przez radio na wszystkie rozgłośnie polskie.

Ale nie to było tego wieczoru rzeczą najważniejszą. Najważniejszym i najbardziej radosnym był fakt, że uczciliśmy tego dnia nie zasługi zamkniętej już przeszłości artystycznej Drzewieckiego, ale właśnie żywą teraźniejszość. Bo tylko doświadczenie wielkiego, dojrzałego artysty w połączeniu z ogniem wewnętrznym, właściwym młodości, dać może taki program. Trzy koncerty fortepianowe z orkiestrą — to program, na który pianista wyjątkowo tylko zdobyć się może. Trzy różne style, trzy epoki oddał pianista w formie artystycznie i technicznie doskonałej: klasyczny umiar i olimpijski spokój koncertu e-moll Beethovena, połączenie klasycyzującej faktury i romantycznego zamyślenia w Wariacjach Symfonicznych Cezara Francka i porywające piękno dźwiękowe IV Symfonii Karola Szymanowskiego. Nastąpił szereg utworów nieobjętych programem: m. i. Polonez Chopina. Zdolność ustawicznej regeneracji, zainteresowanie dla wszystkiego, co nowe i twórcze, to cecha osobowości artystycznej Drzewieckiego.

Przy pulpicie dyrygenckim stanęło trzech kapelmistrzów: **Walerian Bierdiajew** dał bardzo piękną oprawę do koncertu Beethovena, **Tadeusz Wilczak** trafnie uchwycił trudną linię rozwojową Wariacji Francka i **Andrzej Panufnik** wziął na siebie trud poprowadzenia orkiestry w IV symfonii Szymanowskiego. Pięknie wypadła zwłaszcza część ostatnia; była w niej siła i rozmach. Pewne zastrzeżenia może budzić wykonanie części pierwszej, gdzie orkiestra była za ciężka, za głośna w stosunku do fortepianiu i za mało uwydatniała poszczególne motywy. Mimo to wrażenie, jakie się ma słuchając tego dzieła, jest silne. Kto wie, czy nie największy jego urok leży we współgraniu elementów dźwiękowych, bardzo prostych (temat części pierwszej, ludowe motywy części ostatniej) z bardzo skomplikowanymi (część środkowa). Sądzę, że będę wyrazicielką nie tylko muzyków krakowskich, ale i publiczności uczęszczającej na piątkowe koncerty Filharmonii, prosząc o powtórzenie IV Symfonii Szymanowskiego ze Zbigniewem Drzewieckim przy fortepianie.

Stefania Łobaczewska

Z wystawy zbiorowej Eugeniusza Gepperta

EUGENIUSZ GEPPERT **Czwórka** (akwarela)

PARODIE LITERACKIE

ZOFIA NAŁKOWSKA: **„Zdenerwowani"** (fragment powieści)

Jak białe płatki róży, coraz gęściej, czym bardziej zbliża się jesień, odpadały bilety wizytowe od drzwi Nepomuceny. Pierwszy sfrunął jeszcze z jasnych drzwi panieńskiego pokoju, wykaligrafowany sztywnym pismem przebudzonego dziecka:

Nepa Wysokogórska.

I drugi z tych samych drzwi, już litografowany na perfumowanym welinie, już świadomy i unikający poufałych skrótów:

Janina Nepomucena Czeczczot-Wysokogórska.

Trzeci oderwał się razem z nią od mieszkania męża:

Z Wysokogórskich
Nepomucena Kasprowa Feniksańska.

Następnie spadła kartka bristolu z napisem:

Nepomucena Melchiorowa Złotowieyska.

A teraz, po śmierci Baltazara, otoczony czarną obwódką widnieje skromny bilecik, zawierający dwa tragiczne słowa:

Generałowa Zadruhowiecka.

Po tylu inwestycjach miłosnych została Nepomucenie, zamykająca dwa lata, dwie jesienie soczystego owocobrania, ta mała klepsydra na palisandrowych drzwiach empirowej willi w Alei Róż.

Drzwi te dzisiejszego wieczoru, który zawisł nad stolicą bezgwiezdnym kirem, otwierają się często. Co chwila wypada z nich słup światła, otacza swym ciepłem i połyka póstacie otulone w sierść zbytkownych zwierząt i ciemne sukno. Błysk jedwabnych cylindrów i fajerwerk biżuterii za każdym razem towarzyszy ziewnięciu sytych, zmęczonych oddrzwi.

A u szczytu schodów z różowego piaskowca stary służący Hermenegildiusz w dyskretnej liberii z popielatego kamgarnu witał gości ukłonem do pasa i wyłuskiwał ich z wierzchnich okryć. Celebrował ten akt z nabożeństwem smakosza, który obiera migdały, ledwo dotykając ich delikatnym paznokciem. A w nagrodę za to buchała w nozdrza sędziwego Hermenegilda spod rozsuwających się sobolów i breitszwanców, woń coraz to innej, niespodziewanej perfumy. Sługa swym górnym węchem ledwo odróżnić potrafił „Peau de Sapho" od „Ivresse" i „Mon petit Chat".

W salonie, na tle seledynowej ściany, stała Janina Nepomucena, dwojga imion i trojga mężów pani domu w sukni, która, gdyby nie dekolt, przypominała habit mnisi z atłasu barwy wędzonego łososia, obszyty ascetycznie czarną koronką. Oczy miała hiacyntowe, czoło żałobne i brwi podciągnięte tak wysoko, że podrywały za sobą oczy, nos i kilka przednich zębów. Jej cera podobna była złotawej kości słoniowej ze starych klawiszy — i to, w połączeniu z jej szpinetowym głosem dodawało jej niuansów perwersji i biedermajeru.

Wzrokiem tropiącym i pełnym wyczekiwania spoglądała na gości, z których nie każdy był jej kochankiem. Od czasu do czasu ziewnęła z lekka, przy czym dwa palce prawej ręki, środkowy z topazem i czwarty z kameą, przykładała do wypielęgnowanych ust. Goście wydawali szmery, chrzęsty, szelesty i chroboty. Powleczone żywym mięsem i wełną angielską spacerowały tu nazwiska z grzbietów sławnych książek; i z „Kuriera" wycięte, modne cytaty odnalazły tutaj swych ojców. Byli wśród nich Geraz, i doktór Dzojka, i Krzęda, i profesor Żyko. Poeci, wyfraczeni i ludzcy dzisiejszego wieczoru, zanurzali widelce w drżący niepokój galarety, by wyłowić z tej osobliwej sadzawki biały złom sandacza. Nachylali się nad srebrną tacą, solennie, jak gdyby w pokłonie przed zwłokami kurcząt, których żywe jeszcze wczoraj wnętrze wypełniał teraz martwy farsz. Kielichy krążyły w złotych konstelacjach, układając się w zodiaki nad kręgłą taflą malachitowego stołu. I strzępy mądrych rozmów wymotały się czasem z kłębowiska, dobiegły wścibsko uszu Nepomuceny i znikały w matowo-różowych muszlach, daremnie szukając dróg do jej świadomości:

— Mon colonel, — zatrzepotał głos pani Adamaszki, — recepta cioci Benigny jest niezawodna.

— Już i w to nie uwierzę — odparł pułkownik szwoleżerskim truchtem, — żołądek starego żołnierza jest jak zbiornik kanalizacyjny, w którym drażetki tracą siłę. Ale jeszcze się człowiek trzyma kupy.

Nagle Nepomucena opuściła brwi tak gwałtownym skurczem, że nos jej i zęby znalazły się na swoich miejscach. Bo, jakby wywołany jej pragnieniem, jeszcze nakołysany rytmem schodów, w czerni fraka, którego opływowe, leniwe, niby nieco zdegenerowane linie nosiły na sobie artyzm twórczych dłoni londyńskiego krawca, przy dyskretnym akompaniamencie pobrzęku orderowych gwiazd i krzyżyków, drapieżny, o profilu świętego kota i uśmiechu doskonałym, pełnym mnóstwa złotych zębów, a powabny efebową gibkością dwudziestopięcioletnich członków, na marmurowym progu sali stanął On... mężczyzna, Polikarp.

JÓZEF WITTLIN: **Przekład „Odyssei"** (z księgi szóstej)

Nausykaja atoli, rozwarłszy usta do mowy.
Rzekła i takie to słowa skoczyły przez parkan jej zębów:
„Wierę! Chędogich białogłów w rodzica grodziszczu jest siła,
Panien nadobnych a gładkich i sztukę prania znających.
Czyliż przystoi, zaiste, by gnił przyodziewek mej braci,
Latoś jeszcze nie prany, w komorze ciosanej z modrzewia?
Drzewiej nie tako bywało i to mnie jadowi w wątrobie.
Iść mi, gdzie szkwały i sztormy na bełtach Okeanosa
Nawy tarmoszą chyżliwe a takielunek a reje,
Gwoli wyprania tych szatek w kipieli fiołkowej a słonej...
Nuże!" — huknęła na dziewki, bawiące w grodziszczu rodzica.
Niby jajodajne kokosze, wabione wołaniem szafarki
Ziarna sypiącej na gumno, zlatują się chutko z gdakaniem —
Tak przybiężały dziewice, trefione i zgrabnie obute.
„Rączo bywajcie mi, dziewy, rusałkom z gęby podobne!
Król chodzi w gieźle ściaranym, a w gunie śmierdzistej królewie,
Ciżmy zbrukane grądzielą i słychać plugawe onuce.
Czyli was srom nie krasi i czyli nam czekać tej pory,
Aże nas plotka stujęzyczna flejtuchów mianem obszczeka?
Iżbych wżdy sława po świecie, rapsodów mnożona bardonem,
O Nauzykaji gędziła, co braciom chędoży rańtuchy..."
Naści wębory i tarki, a konwie wonnego persylu,
...Pry i odeszła przez dźwierze jałówkooka Atena.

Sparodiował Artur Maria Swinarski

KORESPONDENCJA

DYSPROPORCJE JANA KOTTA
Do redaktora „Odrodzenia"

„Odrodzenie" (nr. 5) zamieściło artykuł Jana Kotta „Protokół i przedpokój". Nie znałem i nie znam ani jednego z urzędników byłego czy też obecnego naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie znam także Jana Kotta. Ale to, co Kott napisał, wystarcza zupełnie, aby zwątpić w słuszność i bezstronność jego artykułu.

Twierdzi Kott między innymi ostrymi napaściami, że dawne nasze MSZ wyhodowało sobie dwa typy urzędników, z których „niżsi, urobieni na wzór policjantów, celowali w chamstwie", i że od roku 1939 „przedpokój (takim mianem określa Kott „niższych" urzędników MSZ) niestety pozostał bez zmian". A tylko „zmieniło się pierwsze piętro, tam, gdzie siedzą ministrowie". Z czego wnosić należy, że do niższych urzędników, wedle Kotta, należą wszyscy urzędnicy MSZ z wyjątkiem ministrów. Że zaś, jak powszechnie wiadomo, i w każdym innym i w naszym MSZ „siedzi" tylko jeden minister, przeto — wedle Kotta — do tych niższych urzędników należą nawet chyba i wiceministrowie. Że do nich mają należeć i nasi ambasadorowie, to z dalszej treści artykułu Kotta wynika niewątpliwie.

O cóż Kottowi chodzi i jakie dowody czy fakty przytacza na poparcie tak ciężkiego i drastycznego oskarżenia?

A więc:

Że od Ministerstwa Kultury i Sztuki dostał pismo do MSZ z poleceniem wystawienia mu paszportu zagranicznego. A urzędniczka MSZ, przed której obliczem stanął Kott, oświadczyła, iż Ministerstwo Kultury i Sztuki nie może polecać, lecz winno prosić MSZ o wystawienie paszportu. Urzędniczka miała rację, może tylko niepotrzebnie powiedziała o tym Kottowi. Następnie poczęła indagować Kotta, w jakim celu jedzie do Francji, bo w piśmie Ministerstwa Kultury i Sztuki wskazany jest tylko cel podróży do Anglii itd. Kott wcale zresztą nie uskarża się na ton lub formę indagacji urzędniczki, a słowa artykułu, że „okazało się po trzecie, że w ogóle zawracam głowę", są raczej wywodem samego autora, a nie słowami urzędniczki.

Tak więc z opisanego zachowania się urzędniczki nie można wyprowadzić wniosku o jej „urobieniu na wzór policjantów", lub zgoła o jej chamstwie.

Cóż jednak najbardziej rozgoryczyło Kotta? Oto dosłownie: „Tak było w Warszawie. A w Londynie? Do Londynu przyjechaliśmy ze Stefanem Żółkiewskim w sobotę wieczorem. Byliśmy bez pieniędzy. Nie mieliśmy gdzie nocować. Prosiliśmy woźnego, aby zadzwonił do ambasadora. Odmówił. Nie wolno niepokoić ambasadora! Podaliśmy nazwiska, prosiliśmy raz jeszcze. Wobec tego woźny zadzwonił, ale do... służącej ambasadora, z zapytaniem, czy przypadkiem nie zna naszych nazwisk". I na tym koniec opisu tego incydentu. Bo bezpośrednio dalej: „Najgorzej było jednak w Paryżu", gdzie Kott, już widocznie po zdobyciu pieniędzy, ma — przynajmniej wedle jego opisu — dość przykrą scenę z wymianą pięciofuntowego banknotu w ambasadzie.

Ale wróćmy do incydentu londyńskiego. Można mieć takie czy inne zdanie o talencie i osobie Jana Kotta, jedno jest wszakże pewne: nie jest on taką znakomitością, aby ambasador R. P. w Londynie, a więc najwyższy reprezentant Polski w Anglii, miał być osobiście, w swoim prywatnym mieszkaniu, wieczorem, w sobotę, niepokojony — bo przyjechał Kott bez pieniędzy i noclegu! Czy nie kryje się w tym zbyt wysokie mniemanie o własnej osobie i niezdawanie sobie wprost sprawy z dysproporcji między osobą Jana Kotta i osobą oraz funkcją ambasadora Rzeczypospolitej?

I czy jest dopuszczalne, aby przytoczony incydent był przedstawiony przez Kotta, jako jeden z „ordynarnych faktów" dla poparcia inwektyw zawartych w artykule Kotta przeciwko „urzędnikom" MSZ?

Przytoczonych przez Kotta incydentów z Zagórskim i Krzywicką omawiać nie będę, bo trzeba by bodaj od nich samych dowiedzieć się, jak się rzecz miała lub ma. Sądzę, że nie są to osoby, które musiałyby posługiwać się osobą Kotta dla dochodzenia swych rzekomych krzywd, i że umiałyby osobiście bronić swych praw, gdyby te istotnie były zagrożone.

Ale wróćmy do Kotta. Sprawa jego artykułu w „Odrodzeniu" już załatwiona. Ale nie koniec jeszcze jego londyńskich perypetii...

W nr. 40 „Przekroju" został zamieszczony reportaż „Londyn". Opisano w nim m. in. trudności transportowe i żywnościowe tego miasta, podkreślono absolutne zdyscyplinowanie społeczeństwa angielskiego i wreszcie przytoczono dwa obrazki zachowania się na londyńskim terenie pewnego naszego ambasadora kultury i sztuki.

Obrazek 1: „Cena żadnego posiłku nie może przekroczyć 5 szylingów na osobę. Kiedy w restauracji „Help yourself" (usłuż sobie samemu) biorę z bufetu na talerzyk drugi krążek masła, przy kasie odbierają mi talerzyk; przekroczyłem 5 szylingów".

Obrazek 2: „Poszanowanie prawa i zwyczaju jest na tej wyspie rzeczą zdumiewającą. Kiedy w czasie pierwszych dni pobytu w Londynie wskoczyłem do autobusu, nie zważając na ogonek, żaden z czekających Anglików nie rzekł ani słowa. Stanęli, otworzyli szeroko usta i patrzyli na mnie z przerażeniem, jak na jakieś dziwne zjawisko atmosferyczne. W końcu jedna stara Angielka rzekła do drugiej: „To są zwyczaje kontynentalne" i obie, uspokojone, że nie jestem niebezpiecznym szaleńcem, wsiadły, przeczekawszy swoją kolejkę, do autobusu".

Może zbędne dodawać, że bohaterem obydwu powyższych obrazków jest tenże Jan Kott, autor cytowanego artykułu w „Przekroju", nasz ambasador kultury i sztuki (przez małe „k" i małe „s") w Londynie, Paryżu i kto wie, gdzie jeszcze...

Ludwik Fen (Łódź)

Z RACJI ŁÓDZKIEJ PREMIERY „WESELA FIGARA"
Do redaktora „Odrodzenia"

Henryk Eile umieścił w „Robotniku" z dnia 15 grudnia recenzję z „Wesela Figara", w której zasługę pierwszego wystawienia tej sztuki przypisuje zespołowi niemieckiemu.

Sądzę, że informację tę zaczerpnął autor z Kucharskiego, którego w chwilę potem cytuje.

Gdzie indziej należało jednak szukać informacji o pierwszym wystawieniu tej sztuki, a mianowicie u Ludwika Bernackiego „Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta", tom drugi, Lwów, 1925.

Otóż na stronie 240 w dziale „Repertuar utworów scenicznych" znajdujemy nader interesujący traktacik o „Weselu Figara", z którego dowiadujemy się, że nieprawdą jest twierdzenie, że tłumacz dzieła jest nieznany, że nieprawdą jest, że po raz pierwszy grał go zespół aktorów niemieckich, że nieprawdą jest, że grał go w dziesięć lat po francuskiej premierze. A natomiast prawda jest zgoła inna i o wiele dla Polski zaszczytniejsza. Otóż prapremiera „Wesela Figara" była właśnie w Polsce, przed wystawieniem tej sztuki w Paryżu, na teatrze amatorskim Karoliny z Gozdzkich, księżnej de Nassau w Warszawie (Dynasy) w roku 1783, a zatem o całe 11 lat wcześniej, niż nam to ob. Eile do wierzenia podaje. Sztukę tę odgrywali nasi arystokraci, a próby zaszczycał swą obecnością sam pudrowany król. Przekładu dokonał Mikołaj Wolski.

Bernacki informuje nas, że o tych szczegółach prapremiery wiemy z listu ks. de Nassau do Beaumarchais'ego z dnia 1 grudnia 1785 i z pamiętników Feliksa Czackiego.

Czy nie zbytni przeto pośpiech w zapisywaniu na dobro Niemców pozycji, która im się wcale nie należy i czy nie groźny po prostu objaw niepamięci o zasługach kulturalnych własnego narodu? Gdyby ob. Eile był opuścił ów pikantny szczegółik, że to właśnie „Niemcy pierwsi u nas" itd., nie byłbym jego omyłek prostował, ale wobec faktu moim zdaniem niepożądanego, że znowuż pewna część prasy zaczyna wynajdywać niemieckie zasługi, odzywam się, prostuję i zarazem protestuję publicznie.

Jan Sztaudynger (Łódź)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 06263 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".